



N^o 50.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 12 grudnia 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Od Redakcyi. — Hipolit Cegielski z (drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Mąż upatrzony, powieść z życia w dwóch częściach, p. Jana Zacharyasiewicza (dalszy ciąg, z trzema drzeworytami). — Pomniki Montelupich w kościele N. P. Maryi w Krakowie (drzeworyt). — Korespondencya Tygodnika Illustrowanego ze Lwowa (z drzeworytem). — Kościół parafialny w mieście Wilkowskich (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — O sztuce w starożytnej Grecyi (dalszy ciąg). — Z dziedziny malarstwa i rzeźby (dokoń). — Ze świata muzycznego. — Uroczna, powieść przez T. T. Jeża (dalszy ciąg). — Dodatek nadzwyczajny: Tajemnica miasta, powieść przez F. W. Hackländera (d. c.)

OD REDAKCYI.

Tygodnik Illustrowany wychodzić będzie i nadal, w tym samym jak dotąd zakresie i kierunku.

Oprócz artykułów stanowiących oddawna stałe rubryki Tygodnika, przygotowane mamy do druku na rok 1869 następujące utwory beletrystyczne większych rozmiarów:

J. I. Kraszewskiego, „Pamiętnik Mroczka.“ Powieść w jednym tomie.

Wincentego Pola: „Obrazy z życia i natury.“ Część 5-a, 6-a i 7-a.

Elizy Orzeszkowej: „W klatce.“ Powieść w dwóch częściach.

J. Zacharyasiewicza: „Mąż upatrzony,“ (część druga).

Wł. Maleszewskiego: „Niewiara,“ komedia w 4-ch aktach, oryginalnie prozą napisana.

Włodęgo Skiby: „Edward.“ Poemat w 6-ciu pieśniach.

Do dodatku zaś nadzwyczajnego: *Filipa Galena* „Czarodziejka z Argentières,“ powieść w jednym tomie (przekład z niemieckiego).

Oprócz tego pozamawialiśmy nowe powieści oryginalne u *T. T. Jeża* i pani *Waleryi Morzkowskiej*.

Wszyscy nowoprzybywający od Nowego roku 1869 prenumeratorowie otrzymają bezpłatnie początek drukującej się obecnie powieści *T. T. Jeża* p. t. „Uroczna,“ oraz te nadzwyczajne dodatki, w

których mieści się powieść Hackländera p. t. „Tajemnica miasta.“

Nadto wydawca Tygodnika, nabywszy znaczną ilość egzemplarzy znakomitego dzieła *J. I. Kraszewskiego* p. t. „Kartki z podróży“ (in 4-o str. 487) wydanego nakładem *G. Sennewal-*

da, na pięknym welinowym papierze, z wytwornymi drzeworytami, którego cena katalogowa jest rs. 7 kop. 50, — oddaje takowe dla *wszystkich* prenumeratorów nazego pisma, w Warszawie za rs. 3, na prowincyi za rs. 3 kop. 50, pragnąc tym sposobem nastreczyć Im sposobność taniego nabycia dzieła niepospolitej wartości literackiej i artystycznej, a mało dotąd rozpowszechnionego, z powodu głównie wysokiej jego ceny.

Przedpłata na Tygodnik Illustrowany, pomimo iż ostatnie rozporządzenie Departamentu pocztowego nowe i bardzo znaczne na wydawcę wkłada ciężary, pozostaje ta sama jak dotąd, a mianowicie:

W Warszawie:

rocznie	rs. 8 kop. —
półrocznie	„ 4 „ —
kwartalnie	„ 2 „ —
miesięcznie	„ — „ 67 1/2

Na prowincyi i w cesarstwie, w osobnych kopertach opieczetowanych:

rocznie	rs. 14 kop. —
półrocznie	„ 7 „ —
kwartalnie	„ 3 „ 50

Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy, stacye i ekspedycye pocztowe. Szanowni więc Prenumerotorowie raczą wcześniej zgłosić się z zamówieniami do najbliższej stacyi, albo wprost do kantoru wydawcy: ulica Nowolipki Nr. 2406; od pośpiechu bowiem w tej mierze zależeć będzie głównie regularny odbiór pierwszych numerów Tygodnika z przyszłego kwartału.



Hipolit Cegielski. (Podług nadesłanej fotografii.)

Hipolit Cegielski.

W naszym wieku przemysłowym, w wieku wszechwładztwa maszyn parowych, kolei żelaznych i telegrafów elektrycznych, nierzadkie widziemy przykłady ludzi, którzy pracą i zdolnością z niczego dorobili się majątku i zaszczytnego w społeczeństwie stanowiska. Ale do fenomenalnych prawie wypadków, przynajmniej u nas, zaliczyć potrzeba przetrwanie się z dziedziny ścisłej nauki, ze sfery czysto teoretycznej, w wir zajęć praktyczno-przemysłowych, a co więcej, uprawianie ich z powodzeniem, z pożytkiem dla siebie i dla innych.

Nauczający przykład takiego zwrotu przedstawia nam życie zmarłego świeżo w Poznaniu Hipolita Cegielskiego. Doktor filozofii, uczony profesor, głęboki językoznawca, wyborny estetyk i ceniony już autor, dotknięty przeciwnościami losu, niczem się nie zraża, lecz śmiało rzuca się do wprost przeciwniej swemu powołaniu pracy, niedawno jeszcze pod przesądem w kraju zostającej, i wychodzi z niej zwycięsko, powszechną czcią otoczony.

Wierzył, i jemu też uwierzone; ufał, więc i sam na zaufanie zasłużył.

Hipolit Cegielski urodził się w Poznańskim 6 stycznia 1815 roku. Kosztem Towarzystwa naukowej pomocy odbył kurs szkolny początkowy w Trzemesznie, gimnazjalny w Poznaniu, a uniwersytecki w Berlinie. Otrzymał w tym ostatnim mieście, po napisaniu rozprawy w języku łacińskim p. t. *De Negatione*, stopień doktora filozofii, oddał się zawodowi nauczycielskiemu. Mianowany r. 1840 profesorem języków starożytnych i literatury polskiej przy gimnazjum poznańskim św. Maryi Magdaleny, lat kilka zajmował tę katedrę. Wtedy to wydał z druku: *Gramatykę grecką dla szkół gimnazjalnych*, Poznań 1843—8. Wydanie 2-ie tamże 1859, opartą przeważnie na gramatyce niemieckogreckiej R. Kühnera. Dzieło to liczy się dotąd do najlepszych w polskim języku, lubo w głosowni jest trochę zarozwlekłe. Pisywał także artykuły lingwistyczne w czasopiśmie poznańskich, jak w *Przyjacielu Ludu*, w którym pomiędzy innymi umieszczona jest obszerniejsza jego praca p. n. „O powstaniu mowy i języków,“ tudzież w *Ogólnym naukowym*, gdzie wydrukowaną została w r. 1843 najprzód w szerszych rozmiarach znakomita i głębokim poglądem filozoficznym odznaczająca się rozprawa „O słowie polskim,“ w której pierwszy starał się, na podstawie rezultatów nowszej lingwistyki ułożyć system konjugacji słowa polskiego. Praca ta przeszła wtedy niepostrzeżona. Dopiero ogłoszenie w r. 1851 rozprawy d-ra Rymarkiewicza „O konjugacji polskiej“ spowodowało Cegielskiego do powtórzenia jej w osobnym przedruku, pomnożonym i ogłoszonym p. t. „O słowie polskim i konjugacjach jego, wraz ze wstępem krytycznym“ Poznań 1852 w 8-ce. Celem tego wydania było postawienie naukowych zasad lingwistyki, przeciw powierzchownym marzeniom gramatyków spóczesnych. Cegielski znajduje się tu przeważnie na stanowisku Dobrowskiego. Wyprowadzona wszakże na jaw polemika w tej mierze wywabiła z ukrycia ks. Malinowskiego, który wystąpił na harc lingwistycznej krytyki, stawiając naprzeciw jednego wyłącznego systematu, metodę porównawczą ogólną, bardziej wszechstronną, a zatem i gruntowniejszą.

W dalszym ciągu badań nad językiem polskim, Cegielski, jako troskliwy nauczyciel, czując brak koniecznych w estetyce podręczników, wygotował wyborne w tym względzie dzieło p. t. „Nauka poezji, zawierająca teorię poezji i jej rodzajów, oraz znaczny zbiór najcenniejszych wzorów poezji polskiej do tego zastosowanej“ Poznań 1845 w 8-ce. Autor, chcąc odpowiedzieć dzisiejszemu stanowisku nauki i potrzebom młodzieży, korzystał tu z dzieł swojskich i obcych. Zasługą jego jest usystematyzowanie prawd i zasad teoretycznych, tudzież uporządkowanie rodzajów i gatunków poezji, a nade wszystko dobór stosownych wzorów. Tylko teorią rytmiki polskiej, jako owoc własnego badania i próbę nowych pomysłów, poddaje pod sąd publiczności, zwracając uwagę na ważną tę stronę zewnętrznej piękności poezji polskiej.

Praca ta, uznana za odpowiednią swemu zadaniu, przedrukowana została w r. 1851, po trzeci raz w r. 1840 i dotąd w swoim zakresie uważana jest za najlepszą.

Śród tak mozolnych zajęć literackich i pedagogicznych, cichego a głębokiego badacza nauki okoliczności rzuciły w sferę przemysłu i handlu.

W roku 1846 Cegielski opuścił zawód nauczycielski.

Po półrocznej usilnej pracy w handlu Ravenego w Berlinie, Cegielski, powróciwszy do Poznania, założył w tak zwanym Bazarze handel żelaza. Kapitału własnego miał tylko dwa tysiące talarów; ale znaczny jego charakter i wysokie ukształcenie jednały mu powszechne zaufanie. Taż sama bystrość umysłu i wytrawność, która go odznaczała w zawodzie naukowym, była, przy nieposzlakowanej uczciwości, najsilniejszą dźwignią jego handlowych czynności.

Urósłszy w zamożność i stosunki, założył r. 1854 w Poznaniu fabrykę machin i narzędzi gospodarskich, którą r. 1859 przeniósł na miejsce dogodniejsze i postawił na stopie pierwszorzędnego zakładu europejskiego.

Zasługę jego w tej mierze niebawem też należy ocenić. Ogólny szacunek otoczył czcigodnego filozofa-przemysłowca, a zakłady jego dostarczały wyrobów najcenniejszych i najpożyteczniejszych dla swojego przemysłu i ziemianstwa.

Opuszczając powołanie do którego od młodości się sposobił i które uprawiał zawsze z zamiłowaniem, nie mógł go też zupełnie zaniechać, chociaż okoliczności działalność jego na inne pole zwróciły. Zład Cegielski, obok zatrudnień kupieckich i przemysłowych, nie zaniedbywał nigdy dziedziny naukowej, ciągle a szeroki biorąc przytęm udział w spełnianiu czynności obywatelskich.

Należąc do każdego pożytecznego przedsięwzięcia, nie przestawał też ogłaszać drukiem prac swoich bądź dawniejszych, przerobionych i rozszerzonych, bądź nowych, bo wynikłych ze stanowiska jakie zajął w świecie przemysłowym. Do tych ostatnich należą: „Machiny i narzędzia rolnicze uznane za najpraktyczniejsze dla użytku gospodarzy wiejskich“ Poznań, 1858. Dalej „Cennik ilustrowany machin i narzędzi rolniczych z fabryki H. Cegielskiego w Poznaniu.“ Warszawa, 1861. Nakoniec „Praktyczna mechanika rolnicza, z zastosowaniem do potrzeb ziemian polskich, z 110 drzeworytami.“ Tamże, 1863 r. w 8-ce.

W życiu towarzyskim uprzejmy, w stosunkach praktycznych gładki i łatwy, chociaż na pozór pozorny, Cegielski miał serce czułe i tkliwe, które śmiertelnie zranione stratą ubóstwianej przezeń żonki, przestało bić dnia 30 listopada 1868.

Pogrzeb Cegielskiego odbył się w d. 4 b. m. z wielką okazałością, przy napływie niezliczonych tłumów publiczności. Orszakowi żałobnemu, oprócz cechów i bractw, towarzyszyli przedstawiciele przemysłu fabrycznego, oraz deputacje magistratu i licznych towarzystw, których s. p. Cegielski był przewodnikiem lub członkiem. Zwłoki jego złożono na cmentarzu św. Marcińskim, w grobie rodzinnym.

Kronika tygodniowa.

Jak to niczemu dowierzać nie można.

Znałem kiedyś poczciwca, który lubił kłąć. Ale że zarazem był to człowiek dość ostrożny, choć popędliwego usposobienia, wybierał więc zwykle takie kłatwy, które sprawdzić się nie mogły.

I tak zamiast owego znanego „bogdaj cię czarci porwali,“ co, jak utrzymywał, nie było niepodobnem, bo o porwaniach tego rodzaju ludzie rozpowiadają, używał wyrażenia, „bogdajesz się zadławił czarciem ogonem,“ twierdząc że choćby ogon czarci wlał komu w gardło, zawsze przy terażniejszych środkach chirurgicznych wydotaną go ztamtąd i oprócz strachu, szkody wielkiej nie będzie.

Nieprawdaż, że to racjonalne.

Z piorunami był ostrożny i tylko w zimie ich używał, dodając znaną litanią „siarczyste,“ „ogniste“ i t. p.

Otóż gdyby ten poczciwiec żył po dziś dzień, odczyłyby się i tej ostatniej kłatwy, przekonały się

bowiem że nie tak trudno o pioruny w zimie, jakby się to zdawać mogło.

Wypadki tego rodzaju zdarzały się czasami, choć bardzo rzadko. Słyszano oddalone grzmoty, poprzedzone błyskawicami, a starzy ludzie rozpowiadają o spadnięciu w samym środku zimy pojedynczych piorunów; ale żeby burza z całą swoją okazałością trwać miała całą godzinę, przy ciągłych grzmotach i piorunach, jak to się przed kilku dniami u nas wydarzyło, tego i najstarsi nawet nie pamiętają.

Rzeczywiście burza ta sprawiła w Warszawie popłoch niełada. Przez chwilę trwało jakby zaćmienie słońca. Słyszeliśmy takich (co to może imaginations), którzy poważnie twierdzili, iż lękają się trzęsienia ziemi, jakby trzęsienia ziemi z burzą jaką styczność miało.

Wprawdzie niema w tém nic niepodobnego; w bieżącym bowiem roku ziemia roztrzęsła się na dobre. Nietylko z Ameryki dochodzą nas wiadomości o kłeskach jakie wielkie trzęsienie ziemi tam zrzuciło i o powtarzających się ciągle drobnych wstrząśnięciach, ale i w Europie było kilka wypadków tego rodzaju.

My dotąd bezpieczni jakoś byliśmy od tej strasznej plagi; zdaje się jednak iż w końcu zeszłego stulecia zdarzyło się w Warszawie drobne wstrząśnienie ziemi, o czém się żywa przechowała tradycja. A i przy początku wieku bieżącego coś podobnego miało miejsce.

Rozповідаł nam pewien staruszek, że siedząc wraz z innymi u „Szyllera,“ który, jak wiadomo, służył w Warszawie ze sławnego przyrządzenia kapłonów, uczył nagle że się dzieje coś nadzwyczajnego.

I wszyscy obecni spostrzegli że obrazy wiszące na ścianie poruszyły się same, drzwi otworzyły się z kłamek i usłyszano brzęczenie szyb, z których nawet parę pękło.

Więc wszystko co żyło wybiegło na ulicę, a znajdowało się tam już mnóstwo ludzi, których także przestrach wygonił z domów.

Szczyściem skończyło się na przestrachu, było to bowiem lekkie tylko poruszenie się ziemi, które żadnych szkodliwych nie zrzuciło skutków i wkrótce zapomniano o niem.

* * *

Straszniejszą może i rzeczywistszą na nieszczęście jest kłeska która obecnie Wieliczkę nawiedza.

Jak wiadomo z opisów, które gazety tutejsze bardzo pilnie i dokładnie zamieszczają, woda przedarła się do niższych piątr salin, a ciągle i gwałtowny jej napływ udaremnia środki ratunku jakie dotychczas obmyślono.

Wprawdzie dużo temu winna i pierwotna nieostrożność, oraz brak na razie wszelkich zaradczych środków, jakie taki ogromny zakład powinien był mieć na wszelki przypadek pod ręką.

Wszystko, od machin parowych, aż do drobnych nawet materiałów do budowania tam potrzebnych, musiano sprowadzać, a tymczasem napływ wody czynił ciągle postępy.

Z samego nawet początku dość obojętnie rzecz tę traktowano i stracono najdroższe chwile, w których można było dotrzeć do samego źródła i zatamować je skutecznie. Dopiero poniewczasie przekonano się o rzeczywistym niebezpieczeństwie.

I tutaj przychodzi nam na myśl pewna uwaga.

Prawiono o krzyżach dawno już znaczonych, które przekom miały ostrzegać, iż w pewnym kierunku prac dalszych prowadzić nie można.

Owóż istnieniu tych krzyżów zaprzeczono później, przyznając jednak iż pomiędzy górnikami była tradycja, wskazująca te niebezpieczne miejsca, którą ojcowie synom ustnie przekazywali.

Otóż doświadczenie uczy, iż tradycjami tego rodzaju pogardzać nie należy. To co ludzie, dumni z tegoczesnego postępu nauki, uważają nieraz za przesad, powinnyby jednak zwracać ich uwagę.

Zkąd pomiędzy prostym ludem wzięła się wiadomość o tém lub owém, gdzie szukać źródła i powodu tradycji, niewiadomo zaiste i podobno tego nikt się nie dobada; ale to pewna, że przestróg tego rodzaju mimo uszów puszczać się nie godzi, bo niejednokrotnie z własną szkodą przychodzi nam żałować, żeśmy nie dawali im wiary.

Wiadomo naprzykład że w kopalniach istnieje przekonanie, iż w miejscach gdzie grozi zawalenie się, duch kopalni (wszyscy prawie górnicy wierzą w ducha kopalni) ostrzega właściwymi sobie odgłosami o bliźkiej katastrofie.

Pewnego razu mnie samemu zdarzyło się, że zwiędzając kopalnie, usłyszałem daleki trzask jakiś, a wówczas górnicy którzy mnie oprowadzali, radzili mi żeby nie iść w tym kierunku, tam bowiem niebezpiecznie, bo duch kopalni się odzywa.

Prawdopodobnie tym razem głosem ducha było rysowanie się filaru, bo i rzeczywiście w kilka dni potem w témże samém miejscu zawaliło się częściowo sklepienie.

Górnicy, żyjąc ciągle pod ziemią, przyzwyczaili się zwracać uwagę na każdy odgłos; dziwny instykt w nich się rozwija i przeczuwają niebezpieczeństwo tam, gdzie oko zwykłego badacza żadnych groźnych oznakby nie dostrzegło.

A ileż to pojedynczych podań krąży pomiędzy nimi, boć to pogłębianie się ciągle w ziemię i wydzieranie tajników w niej ukrytych, usposabia do wiary w cudowność.

Bądź co bądź, tym razem dobrzeby się stało, gdyby zarząd był wierzył przestrogom starych górników wieloletnich, którzy wszyscy twierdzili iż nie należy kopać w tym kierunku w którym się woda ukazała.

Nie mówili oni wprawdzie o wodzie, ale ostrzegali o niebezpieczeństwie i ostrzeżenia ich się sprawdziły.

Dzisiaj, w najlepszym razie, trzeba będzie długich prac i ogromnych kosztów, żeby naprawić szkody.

* * *

Kuchnie tanie stanowią obecnie główne zajęcie Warszawian.

Projekt ten przychodzi do skutku, a przychodzi wcześniej aniżeli się tego spodziewać można było, przy zwykłej u nas opieszałości, gdy idzie o wprowadzenie w czyn najlepszych nawet pomysłów.

Zarząd kuchni tanich uorganizował się już i rozpoczął swe działania. Fundusze napływają ciągle, i jest nawet nadzieja, że wkrótce zbierze się dostateczna kwota na założenie dwóch kuchni, które mogą być zawiązkiem instytucji.

Nie od rzeczy tu może będzie wspomnieć, że przy chętnym udziale jaki wszystkie prawie pisma warszawskie wzięły w rozwoju tej pięknej myśli, artykuł pana Makowieckiego, umieszczony w Tygodniku Ilustrowanym, stał się najbliższą pobudką do wprowadzenia jej w czyn.

I rzeczywiście, na zasadzie tego artykułu, podług systematu tam rozwiniętego, kuchnie tanie się urządzają.

Obecnie pojawia się mnóstwo zdań, projektów, kontrprojektów, zarzutów i zbijań; każdy chce dodać jakieś swoje słowo i gdyby wszystkich słuchać miano i na wszystko zwracać uwagę, rzecz chybaby nigdy nie przyszła do skutku.

Głównie przeciw sobie walczą dwa systematy. Jedni twierdzą że należałoby korzystać z gotowych już garkuchen, zwanych *pod słońcem*, i zapewniwszy im stosowne pomieszczenie, chroniące ludzi tam uczęszczających od niedogodności spożywania obiadów na *świeżem* powietrzu, oraz ustanowiwszy nad nimi baczną kontrolę, możnaby już mieć gotowe kuchnie tanie, z wyrobioną zdawna klientelą i świadomością rzeczy na praktyce opartą.

Drudzy utrzymują, a tego zdania zdaje się trzymać i zarząd, że założenie kuchni tanich powinno nastąpić niezależnie od istniejących już garkuchen ludowych, które nie odpowiadają wielolicznemu miejscowemu potrzebom i nie spełniają myśli zapewnienia klasie uboższej *zdrowego* pokarmu za tanie pieniądze, jaką promotorowie tej instytucji mieli głównie na celu.

Trzeba wiedzieć że taniość potraw w dotychczasowych garkuchniach ludowych sprzedawanych, opiera się głównie na sposobie zakupu wiktuałów, który wcale nie zaspokaja warunków zdrowia publicznego.

Właściciele tych garkuchen nabywają za tanie bardzo pieniądze różne odpadki z mięsa, wiezione na targ a poduszone w drodze cielaki i t. d., co im dozwala na mięsne potrawy nakładać tak tanio stosunkowo cenie.

Ale ponieważ pierwszym warunkiem kuchni tanich jest zdrowe pożywienie, zakupy więc tego rodzaju nie mogą w nich mieć miejsca. Powtóre kredyt, którym tak hojnie szafują właściciele garkuchen, zyski bowiem osiągnięte ze sprzedaży potraw wynagradzają im powstałe przez nieuiszczanie się dłużników niedobory, w kuchniach tanich byłby także niepodobnym do udzielenia.

W kuchniach takich cena na poręce lub obiady oznaczoną zostanie po dokładnem dopięro obrachowaniu kosztów, wszelki więc niedobór powstały z nierzetelności wypłaty, przyniosłoby niepowetowaną stratę i wpłynąłby na zmniejszenie funduszu zakładowego.

O konkurencją niema się co obawiać, pod względem bowiem cen różnica od zapłaty w garkuchniach ludowych pobieranych będzie niewielka albo żadna może, a stosowne pomieszczenie, oraz zapewnienie pożywne go pokarmu, są to rzeczy które zdrowy instykt publiczny potrafi wprędce ocenić i przyswoić do ogólnego użytku.

Idzie tylko o to, a to może najtrudniejsza strona kwestji, żeby zapewnić tym kuchniom praktyczny zarząd, w którym główny udział, jako w części najbliższej pokrewny z gospodarstwem domowem, kobiety przyjąć powinny.

Wiadomo nam zkadina, że od pewnego czasu agituje się u nas także kwestja spółek spożywczych, które w Anglii do znacznych doszedłszy rozmiarów, stały się prawdziwem dobrodziejstwem podwójnie cennem, gdyż nie zaradza ono chwilowo niedostatkowi, jak to czynią wszelkiego rodzaju instytucje dobroczynne, ale wyszukuje powody zubożenia niższych klas ludności w najgłębszych ich tajnikach i daje wszystkim swoim uczestnikom sposoby zaradzenia złemu, naturalnie przy pracy i dobrze obmyślanem spełnianiu warunków ekonomicznych.

Być więc może iż takie spółki spożywcze, jeżeli myśl ta przyjdzie do skutku, pójdą kiedyś ręką w rękę z kuchniami taniemi i staną się stanowczą tamą, chroniącą od rozszerzania się nędzy, która od pewnego czasu zastraszające u nas czyni postępy.

Dodać tu jeszcze wypada, że jakkolwiek kuchnie tanie rozwijać się mają z pewnem współdziałaniem Towarzystwa Dobroczynności, tak zasobnego w środki do wprowadzenia w czyn wszelkich zamiarów filantropijnych, zarząd ich jednak będzie zupełnie oddzielny i fundusze nie będą miały żadnej styczności z funduszami Towarzystwa.

Bo trzeba pamiętać że kuchnie tanie nie są wcale instytucją dobroczynną w całym znaczeniu tego wyrazu, główną bowiem zasadą ich powstania i urządzenia jest: *nie darmo*.

Trzeba przedewszystkiem wzwyczaić ludzi, żeby oglądali się na własną pracę i własne zasoby. Najskuteczniejszem zaradzeniem ubóstwu, jest z jednej strony nastęrczanie ludziom środków do pracy, z drugiej ułatwienie im nabywania głównych potrzeb do życia za tanie pieniądze.

Pierwszy cel osiągnąć można za pomocą umiejętnego rozwoju ogólnych środków ekonomicznych, drugi zaś przez połączenie usiłowań ludzi dobrze myślących i chętnych w poświęcaniu się dla bliźnich, a takich, jak przekonujemy się, niebrak u nas wcale.

Proszeni jesteśmy o wydrukowanie następującego sprostowania.

Panie redaktorze. Racz zamieścić tych kilka słów w swoim piśmie, z przyczyny błędnie podawanej wieści, jaką w kilku dziennikach i pismach napotykałam.

Wiadomość wyległa z gazet austriackich, jakoby p. Pilotti, malarz w Monachium, miał być tamże moim nauczycielem, jest zupełnie mylną; uczęszczając bowiem do Akademii mnichowskiej, byłem ciągle, t. j. od 20 grudnia 1858 do 15 października 1859 r., uczniem technicznej szkoły studyów.

Jan Matejko.

Przegląd polityki zagranicznej.

11 grudnia.

Wzrastające między Portą i Grecją rozdrażnienie wyrodziło starcie. Telegram z dnia 4 b. m. doniósł

że Porta zerwała stosunki dyplomatyczne z Atenami, cofnęła swego posła, wydalila od siebie greckich poddanych i zamknęła swe porty dla handlu greckiego. Wiadomość ta wszakże okazała się o tyle mylną, iż zerwanie nie nastąpiło jeszcze, ale rząd turecki, poparty przez Anglię, Austrię i Francję, przesłał do Aten ultimatum, żądając: 1) aby rząd grecki zaprzestał werbunku ochotników, 2) nie przewoził ich do Kandy na swoich statkach, 3) nie przeszkadzał wychodźcom kandyjskim wracać na wyspę. Nieprzyjęcie tych warunków przez rząd grecki, wywoła cały szereg środków represyjnych ze strony sułtana, a przedewszystkiem zerwanie stosunków, odwołanie posła i zamknięcie portów. Gdyby Grecya usiłowała dowieść że nie ma dość sił do przeszkadzania werbunkom, flota angielska wraz z francuską wpłynęłyby na wody grecko-tureckie w celach blokady. Dziennik Turquie podaje ze Stambułu wiadomość, iż rząd turecki, nie czekając objaśnień z Aten, wydał polecenie swjej flocie do wypłynięcia na morze i topienia statków żeglujących z ochotnikami kreteńskimi.

Dzienniki berlińskie zwracają wciąż uwagę na starania podjęte przez Austrię w kwestji reorganizacji armii, upatrując w tém groźbę. W odpowiedzi na te zarzuty, pisma wiedeńskie występują z zapewnieniem pokojowych dążeń gabinetu wiedeńskiego i otwarcie oskarżają Prusy o jawną dla Austrii nieprzychylność. Nie wdając się w głębszy rozbiór tego, która z dwóch stron więcej ma za sobą słuszności, wyznać należy że obie do pewnego stopnia niezupełnie się mylą. O ile zaś Austrii zależy na potężnej i bitnej armii, widzieć się to daje z rozkazu cesarskiego do wojska, w którym Franciszek Józef przypomina dawne świetne dla astryackiej armii czasy, zachęca ją do zgody, do braterstwa i oświadcza że pomimo ciężkich prób jakim armia uległa, nie straciła jednak odwagi i wiara w jej meztwo dotąd jest niezachwiana. Baron Beust, któremu przepowiedano upadek, otrzymał tytuł hrabiowski i pozostaje nadal sterownikiem polityki astryackiej.

Prasa francuzka nie spuszcza z oka spraw niemieckich, podnosząc każdy fakt drobny, czy też pierwszorzędnj wagi. Na nieszczęście korespondencye nadgraniczne i agencje telegraficzne krzyżują się w swych sprawozdaniach do tego stopnia, iż trudno domacać się prawdy w tym chaosie pogłosek i przypuszczeń. Wszystkie one dowodzą tylko, że Francya obawia się idei jedności Niemiec, upatrując w tém podkopanie swjej zagranicznej potęgi. Wreszcie, umysły we Francji zajęte są wewnętrznym stanem państwa, manifestacyami stronnictw niezadowolonych i postawą rządu. Zbiegowisko na cmentarzu Montmartre nie było ani tak liczne, ani tak groźne jak to depeze głosiły. W każdym razie rząd przedsięwziął tak imponujące środki i rozwinął tak silne zastępy agentów porządku, iż nie można było obawiać się zakłócenia spokoju.

Telegram o upadku gabinetu Disraeliego sprawdził się, lecz dotąd nie udało się p. Gladstone ułożyć nowej listy ministrów. Okoliczność ta tłumaczy się daje tém, iż w nowym parlamencie, który zebrać się miał w tych dniach, liberalni posiadają 115 krzesel. Takię liberalnej większości nie było dotąd jeszcze w parlamencie angielskim, ztąd trudności i przewidywane porażki, na które konserwatyści wystawić się nie chcą. Pogłoski o abdykacyi królowej Wiktorji ucichły.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

MAŻ UPATRZONY.

POWIEŚĆ Z ŻYCIA, W DWÓCH CZĘŚCIACH,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

Część pierwsza.

(Z rysunkami Antoniego Zaleskiego).

(Dalszy ciąg).

Babunia była już w swoim pokoiku, gdy ciocia Euzebia list ten przeczytała. Spojrzawszy na zegarek, wyszła szybko do niej.

Na małym stoliku koło łóżka, leżała rozłożona kabała. Babunia była już rozebrana. Miała na nosie okulary i wsparta na poduszkach, patrzyła w karty z twarzą zamyśloną.

— Niechno babunia posłucha kilku ustępów z listu Nephcia, rzekła zaraz na wstępie ciocia Euzebia.

I zaczęła czytać i objaśniać niektóre miejsca wybitniejsze. Twarz jej była przytęm nadzwyczaj ożywioną; oczy błyszczały szczęściem. Była nawet w tej chwili piękniejszą i młodszą. Patrząc na nią, babunia otarła łzy z oczu i rzekła:

— Bóg ci wynagrodzi za to, Zebcu, że tak wielkie przywiązanie masz do rodziny. Nephcio powinien czcić i kochać cię jak drugą matkę, albo starszą siostrę, która czuwa nad jego szczęściem i cieszy się z jego powodzenia.

Ciocia Euzebia zmarszczyła trochę czoło, jakby z czegoś nie była zadowolona. Po chwili jednak rozśmiała się i rzekła:

— W samej rzeczy, Nephcio ma wielkie powodzenie. Nawet pozorne niepowodzenia przyczyniają się do jego szczęścia. Ta ósemka na lodzie była dziwnym pomysłem, a jednak wszystko wyszło mu na dobre. Ręczę babuni, że Nephcio ma szczęśliwą gwiazdę nad sobą, która nigdy nie dozwoli, aby nad nim niebo się zachmurzyło.

— Babunia słuchała z uwagą; twarz jej jednak nie okazywała wielkiej radości. Przeciwnie, malowała się na niej jakaś troska. Widząc to, ciocia Euzebia spojrziała na nią wzrokiem badawczym i rzekła po chwili:

— Babunia nie podziela mojej radości? Nie wiem jaki może być powód tego.

— Powód, moja Zebcu, odparła zamyślona babunia, jest bardzo ważny. Widzisz, poraz trzeci kładę kabałę i poraz trzeci staje przy królu dzwonkowym siódemka żółdna i as żółdny... Znaczą to wielkie, nader wielkie nieszczęście! A niżnik żółdny patrzy na króla z yzmem i uśmiecha się.

— To może jeszcze to samo nieszczęście, które spotkało go na lodzie podczas ślizgawki.

— Nie, duszo, tamto nieszczęście jest tu na dole. A to nowe nieszczęście ma jeszcze dziwny dodatek...

— Jakiż dodatek? zapytała ciocia Euzebia, patrząc w zamyśleniu na karty.

— Taki dodatek, że spowodowane będzie przez jakąś krewną.

— Krewną? krewną? któżby to mógł być?... Pan Alfons jest wprawdzie w dalekim pokrewieństwie...

— I to krewną która jest mu bardzo bliską.

Ciocia Euzebia patrzyła chwilę na karty w zamyśleniu. Potem wyciągnęła nagle rękę i porzuciła je ze stołu.

Babcia spojrziała na nią z zadziwieniem. Na jej twarzy zbierały się chmurki gniewu.

— Cóż to znowu Zebcu wyrabiasz? zapytała dość groźnie, patrząc na rozrzucone po dywanie karty.

— Ręką moją rozwiałam nieszczęście, które groziło Nephciowi, odpowiedziała ciocia z twarzą zarumienioną.

— Gdyby to mogło tak samo stać się w rzeczywistości! westchnęła babunia, poprawiając okulary.

— Ufam sobie!.. Patrz babuniu, że lepiej umiem kłaść kabałę. Na dywanie leży król dzwonkowy wraz z królową, a koło nich sama czerwień... Czy to przypadek, czy co?

Babunia spojrziała na dół i uśmiechnęła się zadowolona. Na dywanie w samej rzeczy leżały karty w takim porządku.

Gdy ciocia Euzebia odeszła do swego pokoju, zasiadła tam jeszcze do pisania listu do Nephcia. Pisała mu między innymi:

— „Łzy twoje, kochany kuzynku, które wylałeś z powodu odjazdu Sydonii, świadczą że twoje uczucie nie jest jednym z tych złudzeń, jakie się w życiu trafiają, ale prawdziwym i z gruntu duszy pochodzącym. Przyznam ci się, że ogarnęła mnie pe-

wna zazdrość, gdy o tych łzach czytała. Łzy które mężczyzna dla kobiety wylewa, są to drogie



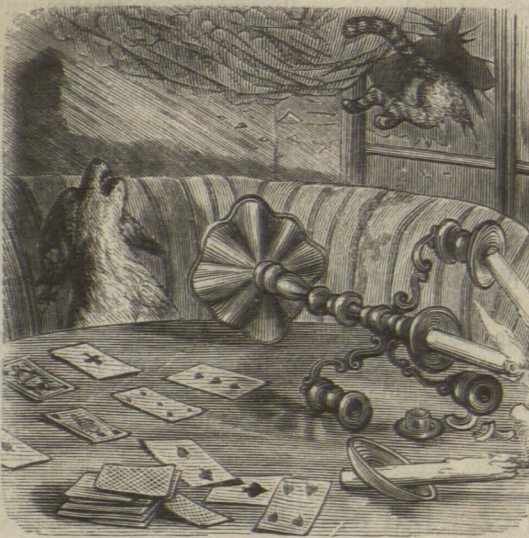
...Więcej? powtórzyła Katarzyna i obejrzała się bacznie dokoła.

perły, które powinny złotą dostać oprawę. Szczę-



Kiedy tak z wielkiej radości sercu wezbranemu folę czyniłem...

śliwa, która taką pamiatkę na burzę życia może zachować... A jakże biedną i nędzną istotą jest ta, co tego skarbu w życiu swoim nie zdobyła, na-



Gwałtu!... to śmierć!...

wet największym poświęceniem się!... Czy ty mnie rozumiesz, mój drogi kuzynie?... Zdarzenie z książ-

ką francuzką, o którym mi piszesz, świadczy o wielkiej prostocie i dziewiczości serca Sydonii. Jest to dawny i arcywinnny wybieg w dziejach serdecznych. Dowodzi to, że Sydonia jest duszą niewinna jak anioł. Inna, dzisiejszego kroju panna, ma do dyspozycji tysiąc sposobów, aby mężczyźnie ku któremu skłania się jej serce dać to poznać i uczuć. Często są to sposoby dosyć jawne, a nawet bezwzględne. Sydonia wzgardziła nimi. Wolą wrócić się do dawnego, bardzo dawnego sposobu, niżeli wzywać do tego kunsztownych spojrzeń, wyuczonej szermierki słów i uściśnięć ręki... Tak jest, Sydonia cię kocha i w tym celu napisała tych kilka słów na strzępku papieru, aby w razie niepomysłnym nie kompromitować się. Co do jurysty, który ci głowę zaprzęta niepotrzebnie, sądzę że należy do tego tłumu, który zazwyczaj ciągnie się za każdą ładną kobietą. Nie uwłacza to bynajmniej kobiecie, ani dla prawdziwego jej wielbiciela nie powinno stanowić przedmiotu do gniewu lub zawiści. Cóż cię to gniewać może, że jakiś tam prawnik wdycha skrycie do Sydonii, która dla zabicia czasu na wsi może jakie słowo do niego przemówiła, a do której on w stolicy najmniejszego przystępu mieć nie będzie?... A jak kiedy jakie głupstwo powie, to nie potrzebujesz tak się unosić, aby mu kłapę od surduta nadrywać, bo to spowodowałoby między wami kolizję nieprzyjemną. Zresztą człowiek który na kawałek chleba uczyć się musi, nie może tak spokojnie dać się targać za kołnierza, na który gorzko pracował. Co zaś do Fredzia, tego przecież znają wszyscy z jego spleenowatego humoru. Lubi dowcip cierpki i chce go wszędzie stosować. Dla tego dowcipu gotów jest wszelkie względy poświęcić. Nie trzeba więc tego brać na seryo co mówi. Ma on najczęściej w tym celu zupełnie inny, niżeli ten, o który go posądzać można. Słowem, pozycja twoja jest świetna, byleś tylko dalej dobrze z niej korzystał. Listu twego czekam z niecierpliwością. Obawiam się czy ta kłapa jurysty nie nabawiła cię kłopotu.“

Obawa cioci Euzebiei była słuszną. Za dwa dni nadszedł list, w którym pisał Nephcio:

— „Powiedziałem w ostatnim liście, że właśnie w tej chwili, gdy jurystę trzymał za kłapę, nadszedł pan Alfons i widząc to, zatrzymał się przy progu. Puściłem kłapę jurysty i przywitałem gospodarza. Pan Alfons dosyć zimno się przywitał, wybąknął kilka słów do Fredzia, a zwróciwszy się do jurysty, rzekł do niego:

— Prosiłbym pana na jedno słówko, jeżeli to panu nie sprawi przerwy w rozpoczętej konwersacji.

Pan Alfons strzelił przytęm na mnie ukośnym wejrzeniem. Oczywiście to trzymanie kłapy nazwał rozpoczętą konwersacją. Prawdopodobnie nie rozumiał tego jurysty, bo spojrzawszy na mnie, odparł:

— Rozpoczętą konwersacją z panem Nepomucenem później kontynuować mogę, a teraz służę panu.

Rzekłszy to, otworzył drzwi i zrobił gest ręką, aby pan Alfons wszedł pierwszy, co też się stało. Za nimi wstał i Fredzio i nadzwyczaj grzecznie ze mną się pożegnał. Zostałem więc znowu sam w moim więzieniu.

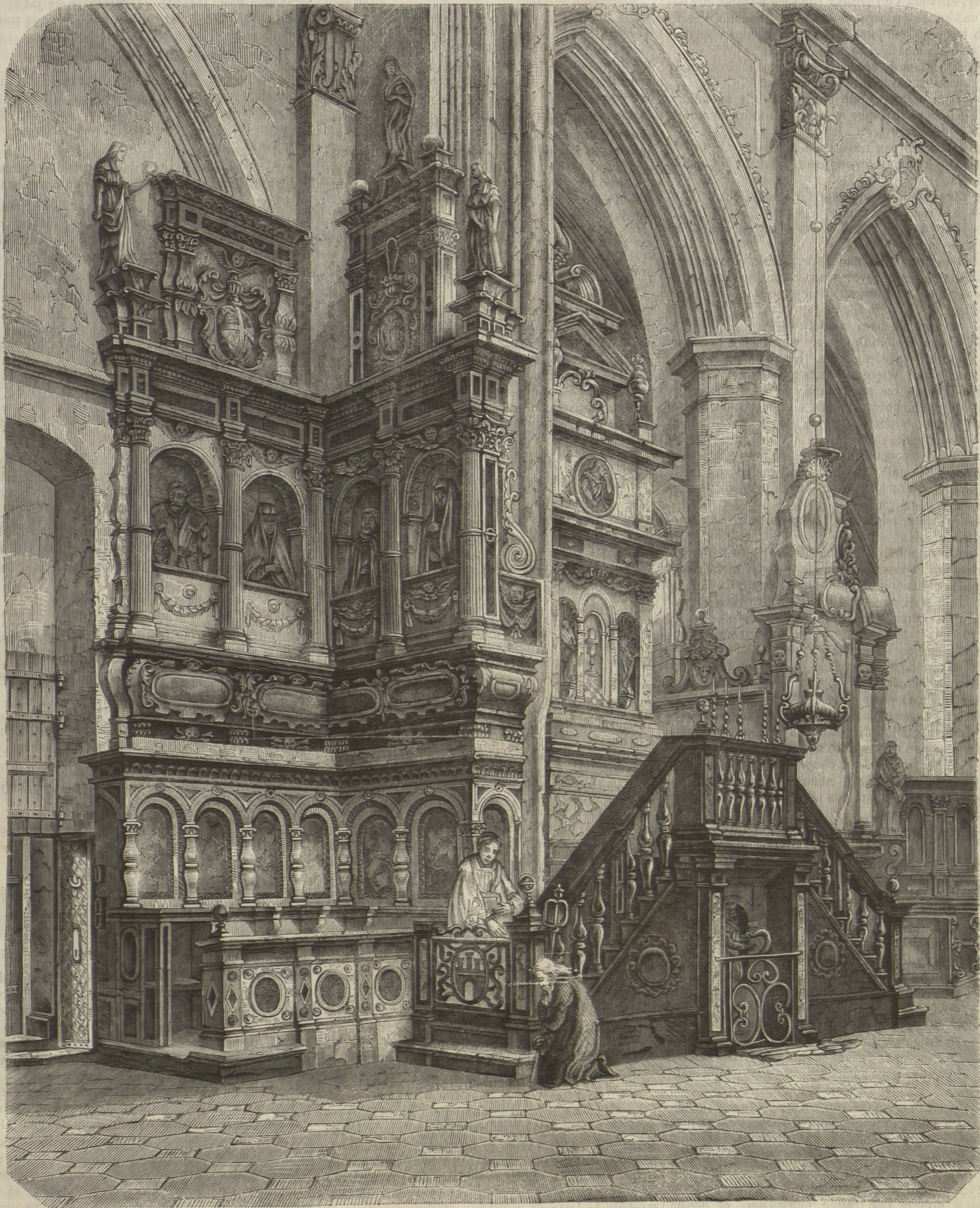
To co teraz nastąpiło, zadziwiło mnie niemało. Nie wiem czy to się stało przypadkiem, czy też miał Alfons w tym jakiś cel ukryty. Nie zaprowadził bowiem jurysty na osobną pogadankę do salonu, lub do swego gabinetu, ale do saloniku obok mnie, który po odjeździe Sydonii był próżny. Rozumiem się że mimo chęci i woli musiałem słuchać całej ich rozmowy, chociaż nosiła na sobie cechę poufałości.

— Mój panie Henryku, ozwał się pan Alfons, nie weźmiesz mi tego za złe, jeśli z przyjaźni dla ojca i pana pomówię z tobą o pewnej rzeczy, która cię z bliska obchodzi, a mnie wcale może obchodzić nie powinna.

— Jeżeli ostatnie słowa rzeczywiście do tej rzeczy zastosować się dadzą, odparł w gburowaty sposób jurysta, to życzyłbym sobie, ażebyśmy na nich poprzestali. Jest to najlepszy sposób załatwiania

zdania. Po bliższej jednak rozwadze i po tém co widziałem w pokoju pana Nepomucena, postanowiłem, bądź co bądź, pomówić z panem jasno i otwarcie.

stanowisko niezależne. Dzisiaj jesteś pan już przecie u mety. Za kilka miesięcy zostaniesz doktorem prawa, za kilka lat możesz otrzymać adwokaturę i ubierać co grosza. Oto w kilku słowach skróciłem



Pomniki Montelupich w kościele N. P. Maryi w Krakowie. (Rysował z natury Gryglewski.)

spraw drażliwych.

— Masz pan słusznosc, odparł grzecznie pan Alfons, jak na człowieka dobrze urodzonego przystoi — masz pan słusznosc, i ja byłem tego samego

— Więc słucham pana, ozwał się jurysta.

— Otóż zaczynam, mówił pan Alfons. Ojciec pana zrobił ofiarę z całego życia swego, aby panu dać wykształcenie i naukę, któraby nadać ci mogła

całą pana karyerę.

— Dotąd nie widzę potrzeby żadnych uwag z mojej strony, odparł jurysta, jakby już był adwokatem.

— Otóż taka jest droga, na którą pana może zaprowadzić nauka. Innych pretensyj nie powinien pan żywić, bo tych nie daje ani nauka, ani stanowisko nauka zdobyte. Nazwij pan to zdanie moje jak chcesz, przesądem, wsteczną dążnością, wymysłem kasty, albo jak tam zresztą panu się podoba, ale dosyć na tém, że ten przesąd istnieje i że mocno w regulach towarzyskich jest wkorzeniony. Tego i optymi- sta zbić nie może.

— Nie wiem do czego dążą te wszystkie wywody — przerwał z niecierpliwością jurysta.

— Dążą do tego, odparł pan Alfons spokojnie, abyś pan zwrócił uwagę na drogę na którą wszedłeś, a która nie ma wyjścia.

— Niech mi pan rzecz jasno wypowie.

— Oto krótko mówiąc, panu podobała się panna Sydonia.

— Zgadza się to zupełnie z jej wolą i chęcią.

— Nie rozumiem pana.

— Zapytaj pan panny Sydonii, czy się gniewa za to, że się mnie podobała.

— Pan masz znakomitą przyszłość jako adwokata... dlatego chciałbym panu usunąć wszystko z drogi, co by mogło tej świetnej karierze stanąć na przeszkodzie.

— A więc słucham z całą uwagą.

— Panna Sydonia może się wprawdzie podobać, ale ztąd nie wypływa jeszcze, aby na tym gruncie coś budować. Więcej jeszcze powiem. Panna Sydonia, jako dobrze wychowana, jest pełną grzeczności dla tych, którzy ją przez zbieg okoliczności przypadkowo otaczają. Pójdę jeszcze dalej. Panna Sydonia, jako osoba młoda i żywa, może nawet czasami wyjść po za granicę czy to zabawy, czy konwersacji. Nie należy jednak ztąd wnosić, aby miała na myśli to uczucie, jakie u innych przez nieporozumienie wzbudzić może.

— Widzę że pan więcej masz talentu adwokackiego odemnie.

— Aby zupełnie zająć stanowisko adwokata, powiem panu to jeszcze, że panna Sydonia może nawet z jakiejś chwilowej słabości albo kaprysu dać komuś powód do większych nadziei, ale po krótkiej rozwadze uzna sama, że to jej nie przystoi, i nigdy nie zapomni, co winna jest swemu urodzeniu i towarzyskiemu położeniu. A względ ten na położenie towarzyskie istnieje u nas, mimo wszelkich doktryn, w całej pełni.

— Zgadza się na wszystko, co pan dotąd powiedział, a nawet na istniejący u nas przesąd pozycyi towarzyskiej. Nie wiem tylko, w jaki sposób chcesz pan to wszystko do mnie zastosować.

— W ten sposób, że chcę panu zawczasu otworzyć oczy, ażebyś widział gdzie jesteś.

— A gdybym ja już sam miał oczy otworzone i widział gdzie jestem?

— W takim razie zostałyby tylko połowa moich dobrych chęci.

— Czy i ta druga połowa mnie się tyczy?

— O tyle, żebyś pan nie stawał na drodze trzeciej osobie.

— Trzeciej osobie?... Czy mówisz pan do mnie z polecenia panny Sydonii?

— Broń Boże! mówię od siebie. Życzliwość dla pana i panny Sydonii dyktuje mi te słowa.

— Czy może w interesie tej trzeciej osoby?

— I to nie. Przynajmniej nie proszono mnie o to.

— Jeśli tak jest, to nie bierz mi pan za złe, że pójdę drogą jaką mi iść każe serce moje.

— Ta droga nie będzie rozsądną.

— Być może, iż rozum dyktowałby tu inaczej; lecz aby rady pana usłuchać, trzeba by mieć pańskie lata. Każdy wiek ma swoje prawa.

— Niech pan jeszcze raz rozważy swoją pozycyą. Masz pan ładną przyszłość przed sobą. Możesz pracą dorobić się wygodnego kawałka chleba, ale tam wejść nie możesz, gdzie ci miejsca odmawia... przesąd towarzyski. W najlepszym razie będziesz pan do tych należał, o których jeden z najlepszych francuzkich pisarzy tak trafnie powiedział, że można z nich mieć kochanków, ale nigdy mężów.

Na to jurysta nic nie odrzekł, tylko głęboko westchnął.

— Nie chcę pana dalej nużyć rozmową, rzekł pan Alfons, ale niech pan nad tém pomyśli, cośmy z sobą mówili.

Tu słyhać było kroki idących. Widać że konferencya była skończona i że się rozchodzili.

Gdy odgłos ich kroków w drugim czy trzecim pokoju zupełnie ustał, odetchnąłem pełną pierśią i nie wiedziałem zrazu co z wielkiej radości zrobić.

Oczywiście tą trzecią osobą, dla której pan Alfons wyłączne prawa od jurysty windykował, nie mógł być nikt inny tylko ja... Osobą której tyczyły się zamysły Sydonii, na realnym gruncie oparte, byłem — ja.

W szale radości podlega człowiek dziwnym jakimś władzom. Cóż mi nagle w nogi wlało i tę radość nadzwyczajną kazało objawić tańcem. Wziąłem się więc pod boki i uciałem najprzód kilka czysto krajowych hołubców. Wkońcu podniosłem jedną rękę do góry i jak rodzony Węgier puściłem się pojedynką czardasza...

Kieły tak z wielkiej radości sercu wezbrane- mu folę czyniłem, nie spostrzegłem, że we drzwiach otwartych stał i patrzył się na mnie jurysta.

Przykre wrażenie wywarł na mnie ten przekłety duch Banka. Najprzód widział mnie skaczącego po pokoju, chociaż to nie powinno mnie alterować. Król Dawid skakał także w obliczu całego ludu, a przecież Żydzi nie dziwili się temu, chociaż miał koronę na głowie. Stałem więc na środku i myślałem, jakby to ten taniec przed nim wytłumaczyć. Nie potrzebowałem jednak tego. Zaraz na wstępie rzekł do mnie:

— Przykro mi bardzo, że śród tak rozkosznej chwili przychodzę do pana z chmurą na czole.

— Aha, odgaduję, rzekłem, chcesz pan dalej prowadzić przerwana rozmowę...

— Tak jest, a na mnie właśnie kolej odpowiedzi... Pan wziął mnie za klapę od surduta i powiedział mi niegrzeczność. Spodziewam się żeś pan wiedział, jakie konsekwencje to mieć może, a nawet sądzę żeś pan sam chciał tych konsekwencji... Staję więc panu na usługi.

— Sapristi! zawołałem, a cóż to, chcesz mnie pan na pojedynek wyzwąć?

— Nieinaczej. Zdaje mi się, żeś pan sam tego pragnął, mając w tém pewien cel ukryty.

Zamyśliłem się nad tém, co mi jurysta powiedział. I było też nad czém się zamyślić. Pojedynek, to nie partya preferansa. Gdy się ma pistolet w rękę, to zawsze przez krzyże ciarki biegają. Rzekłem więc do jurysty:

— Panie Henryku, pomówmy z sobą otwarcie. Pan nie dlatego przychodzisz mnie wyzwąć na pojedynek, żeś cię w konwersacji gorącej wziął za klapę, ale dlatego, że ktoś ci powiedział, jakobym ja był szczęśliwym adoratorem panny Sydonii... Dajmy na to, że to jest prawda. Cóż panu w takim razie pomoże pojedynek ze mną? Możesz pan mnie zabić, albo ja pana. Ale czy na tém zyska ten który na nogach się ostoi?... Od pojedynku nie cofam się, jeśli on jest koniecznym, lecz tu nie widzę z niego żadnego zysku... Pan jesteś egzaltowanym i chcesz tak samo postąpić jak bohaterowie romansa. Ale przyczyna tam jest inna. Autor pragnie ciekawość czytelników do drugiego tomu zaostriżyć i wprowadza przy końcu pierwszego tomu pojedynek. My zaś powieści żadnej nie robimy, a więc i tego fortelu nam nie trzeba.

— Więc pan odmawiasz?

— Odmawiać nie odmawiam, ale czynię taką propozycyą. Pan zajął się Sydonią, ja nieco także. Kogo ona sobie wybierze, to od sporu naszego bynajmniej nie zawisło. Możemy więc iść razem obok siebie spokojnie, a gdy przyjdzie czas, że Sydonia do jednego rękę wyciągnie, to drugi pójdzie z panem Bogiem do domu.

Rozśmiał się na ten koncept jurysta, a podając mi rękę, rzekł do mnie:

— Widzę, że z panem strzelać się nie można.

Ucałowałem go za te słowa, bo w szczęściu mo- jem miałem litość nad nim.

P.S. Właśnie miałem list ten zakończyć, gdy jeszcze coś mi dodać wypadło. Od godziny spostrzegłem, że ktoś po moim korytarzu często tam i na- zad się przechadza. Otworzyłem drzwi i obaczyłem że to była służąca dawna panny Sydonii, która z nią teraz do Lwowa jeździła. Uśmiechała się jakby coś miała powiedzieć. Przechyliłem sercem, że ją posłała Sydonia.

— Cóż tam, panno Katarzyno? zapytałem.

— Nic, proszę pana, odpowiedziała, szczęśliwie zajechaliśmy. Panna kazała się panu kłaniać i powiedzieć, abyś pan sam tę francuzką książkę, którą zostawiła, przywiózł do Lwowa i oddał jej własnoręcznie.

— I cóż więcej mówiła? zapytałem uradowany i miałem znowu wielką ochotę do czardasza.

— Więcej? powtórzyła Katarzyna i obejrzała się bacznie w koło — więcej mówiła panna, nim pan wyjedziesz do Lwowa, niech pan uwiadomi pana Gotfreda o tém. Miał on pannie jakąś książkę posłać pocztą — niech więc tę książkę przez pana przysle.

— Trzeba o tém panu Gotfredowi wspomnieć, zauważyłem.

— Panna Sydonia kazała tylko o tém panu powiedzieć, a pan ma to oświadczyć panu Gotfredowi, odrzekła stanowczo Katarzyna.

Jaki interes mogła mieć Sydonia w tém dziwném zleceniu?

Lecz mniejsza o takie drobnostki. Przeczuję, że jestem na drodze do celu.

Gwiazda moja świeci jasno nademną!... Gdyby zagasła, nie wiem co bym począł w ciemnościach!... Czuję że ta kobieta zasłoniła mi świat cały; bez niej niema dla mnie szczęścia na ziemi!...

Muszę iść za nią, tak jak ptak wędrowny idzie za słońcem — i pójdę, choćbym, jak drugi Orfeusz, miał się zapuścić aż na dno piekła."

Gdy ciocia Euzebia ten list babuni przeczytała, ta ostatnia zawołała nagle:

— Patrz, Zebciu! As zołędny, tuż koło niego! Gwałtu, to śmierć!

Na ten krzyk babuni zaczął Neptuś wyć przeraźliwie — kot przestraszył się i stłukł okno, — a przeciąg wiatru zagasił dwie świece z kandelabru...

Babunia wzięła koronkę i zaczęła modlić się — a ciocia Euzebia podparła ręką głowę i zamyśliła się.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

KORRESPONDENCYA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

wów, w końcu listopada.

Rozstrzygnięto tedy konkurs dramatyczny, i dramat p. Edwarda Lubowskiego „Żyd“ odniósł zwycięstwo pomiędzy dwudziestu pięciu spółzawodniczącami utworami scenicznymi, najrozmaitszego rodzaju. Komitet miał niemałą pracę w ocenianiu tak mnogiej ilości sztuk czytanych z osobna przez każdego z członków komitetu. Ten to sposób postępowania przyjęty przez komitet, był przyczyną iż wydanie wyroku tak długo się ociągało, bo niemal rok cały. Czytając razem na zebraniu całego komitetu, o wiele śpieszniej można było rzecz ukończyć. Obok sztuki uwieńconej, jednogłośnie najwyższą wartość przyznano w komitecie komedii „Don Juan królewski“ której przedmiotem są intrygi kobiece na dworze Augusta II. Ten to przedmiot właśnie był przyczyną, iż komitet wahał się dać nagrodę tej wyborniej komedii, malującej żywo i dosadnie obraz wieku. Komitet miał tutaj skrupuły, które wobec wymagań estetycznych i dramatycznych nie dadzą się usprawiedliwić, lubo pod względem surowej moralności można je podzielać. Nie autora to wszakże

wina, że owe czasy i stosunki nie licowały z wyobrażeniami surowej moralności i że wierny ich obraz nie może się w głównych rysach zgadzać z pojęciami naszymi o obowiązkach i cnotach. Wszakże w Don Żuanie królewskim barwy te tak misternie są cieniowane, głębsze motywy psychiczne tak naturalnie i z taką znajomością natury ludzkiej zmieszane z owym lekkim obyczajem wieku i ślizką jego powierzchnią, przyciemniona rzecz prowadzona z takim zajęciem i znajomością scenicznego wrażenia, iż komedia ta, zdaniem wszystkich członków komitetu, poufnie wyrażonem, będzie cennym nabytkiem repertoaru. Komitet wszakże nie chciał wyrokiem swym zatwierdzać podobnego kierunku w wyborze przedmiotów dla sceny i z tego powodu usunął Don Żuana. Uwieńczony nagrodą „Zyd“ będzie przedstawiony na scenie tu-tejszej z początkiem przyszłego miesiąca i wówczas obszerniej o nim napiszę.

Załatwiwszy sprawę konkursową, komitet nie roz-wiązał się, ale zajął się niezwłocznie sprawą wysta-wienia pomnika dla ś. p. Jana Nep. Kamińskiego, owego twórcy sceny lwowskiej, który przez lat trzy-dzieści dźwigał ją i utrwalił swem usiłowaniem, swą niezmordowaną pracą, i pozostawił własną szkołę artystów, pomiędzy którymi kilku świetnym odznaczyło się talentem. Rzecz można że scena lwowska winna Kamińskiemu swój byt; albowiem on ją utrzymał, ochronił od zniszczenia i doprowadził do tej chwili, w której pod skrzydłem możniejszej opieki, w dzisiejszym gmachu hr. Skarbka, znalazła byt swój utrwalaony. Zasługi zatem Kamińskiego dla sceny lwowskiej były bardzo wielkie. Myśl uczczenia zasług tych pomnikiem, powzięto jeszcze przed laty dziesięć i wówczas już nawet zebrano na to niejaki fundusze. Dyrekcya teatru, za czasu pp. Nowakowskiego i Smochowskiego, dała jedno na ten cel przedstawienie; przyczyniły się też z rozmaitych stron nadesłane składki. Ale nie było jakoś nikogo, coby ostatecznie przyłożył rękę do dzieła i zajął się wykonaniem pomysłu. Chodzi więc dzisiaj o uzupełnienie owego funduszu już zebranego, ale jeszcze niedostatecznego. Dyrektor teatru, p. Miłaszewski, ofiarował się dać przedstawienie na ten cel. Przedstawienie to ma być ułożone z wyjątków rozmaitych scenicznych utworów Kamińskiego, ze stosownymi obrazami. A że wątpić nie można iż publiczność licznie się zgromadzi, dla odświeżenia w pa-mięci swęj owych niegdysz tak ulubionych na tutej-szej scenie utworów jej nestora, przeto niewiele już pozostanie do uzupełnienia sumy potrzebnej na sprawienie marmurowego popiersia, lub nawet więk-szych rozmiarów pomnika. Do wykonania onego wezwani będą artyści, w którym to celu wkrótce ogłoszony zostanie konkurs, z oznaczeniem bliższych warunków. Pomnik stanie w przedsienu teatralnym, jako w owym przybytku, którego stró-żem i opiekunem przez lat wiele był ś. p. Ka-miński.

Mówiąc o scenie, nie mogę pominąć wzmianki o p. Bakałowiczowej, która występami swemi wielką publiczności naszej sprawiła przyjemność. Już to role gościnne każdego ze znakomych warszawskich artystów, są prawdziwą dla sceny tutejszej uroczystością. Staraniem dzisiejszego dyrektora teatru, p. Mi-laszewskiego, zawdzięcza scena nasza, iż znakomici od czasu do czasu pojawiają się na niej goście, gdyż dawniejsze czasy publiczność lwowska ograniczona była ciągle tylko na szczupłe grono miejscowych ar-tystów, znanych od lat wielu, i nie była w możności porównywać gry ich z innymi. Od czasu jak Mi-laszewski objął zarząd sceny, rzeczy się zmieniły. Wi-dzieliśmy już kilkakrotnie Królikowskiego, Rychtera, Modrzejewską, Bakałowiczową, a mamy nawet na-dzieję, że i Żółkowski, który dotychczas nie dawał się namówić do odwiedzenia Lwowa, wkrótce może łaskawym niż dotąd dla tutejszej sceny się okaże. Co do p. Bakałowiczowej, podobała się ona najwięcej w „Okrężnem“ Korzeniowskiego, w „Ślubach pa-nieńskich“ Fredry, równie jak w tegoż komedii „Mąż i żona“ i w kilku innych jeszcze pomniejszych sztukach.

Zajmują się obecnie urządzeniem zupełnej stacyi meteorologicznej samopiśnej, za pomocą fotografii, to jest takiej, w której spostrzeżenia na wszystkich narzędziach spisywać będzie sama fotografia. Świat

naukowy oceni zapewne ważność takiego zakładu. Stacyj w podobny sposób urządzonych, jest zaledwie kilka w Europie, mianowicie w Anglii i w Peters-burgu; stacya więc tutejsza będzie się liczyła do rzędu najpiérwszych, najdokładniejszych podających spostrzeżenia. Myśl urządzenia takowej powzięł p. Stanisław Kunasiewicz, członek komisji fizyograficznej krakowskiej, i wespół z p. Szajnkiem, foto-grafem, tudzież kilku jeszcze innymi członkami ko-misji fizyograficznej i profesorami tutejszej akade-mii technicznej, zajął się wykonaniem pomysłu, tak ważnego dla umiejętności. Złożono pomiędzy sobą 500 zł. w. a. na piérwsze urządzenie, sprawienie zé-garu i t. p. Skutkiem tak bezinteresownej gorli-wości w sprawie nauki, połączonej nawet z ofiarą piéniezną, wkrótce już stanie i działać rozpocznie pomieniony zakład meteorologiczny, pod kierowni-cstwem p. Szajnika.

Omyliła nas nadzieja artystycznej w tym miesia-cu wycieczki koleją żelazną do Podhorzec, na którą zbierało się kilku tutejszych artystów, archeologów i fotografów, celem zwiedzenia i odkopowania sta-rożytności i obrazów, znajdujących się w zamku tamtejszym. Nie zdołano ukończyć kolei lwowsko-brodzkiej przed zimą, zaczęła i zamierzona wycieczka do maja odłożoną być musiała. W maju bowiem dopiero prawdopodobnie otwartą zostanie kolej, po-mimo że ostatnimi czasy pracowano koło niej nad-zwyczaj gorliwie dniem i nocą przy pochodniach. Najwięcej trudności przedstawiała przestrzeń od daw-nego dworca kolei krakowskiej, do dworca nowego na przedmieściu Żółkiewskim, otaczająca miasto zachodnio-północnem wybrzeżem. Linia kolei, zni-żając się tutaj coraz bardziej na znacznej spadzisto-ści, przechodzi skaliste wzgórza, które przerywać i znosić wypadło, i jary, ponad któremi prowadzone być musiały długie wiadukty. Dalsza przestrzeń ku Brodom idzie już samemi równinami i jest wy-kończona. Chodzi więc tylko o ukończenie części najcięższej pomiędzy obu dworcami, będącej przyczyną opóźnienia. Na tej to przestrzeni, nad którą konserwator urzędowy zabytków archeologi-cznych przy kopaniu nasypów pod drogę ścisły roz-ciągnął nadzór, przewidując iż mogą się tam znaleźć wykopaliska ważne pod względem archeologicznym, znaleziono w samej rzeczy niektóre przedmioty go-dne uwagi. Oprócz posążka wyobrażającego rzym-ską karyatydę w stylu renesansowym naśladowaną, której fotografią wam posłałem, (*) znaleziono bar-dzo wiele monet rozmaitych nie tylko pojedynczo, na całej linii, ale w pobliżu cmentarza *Paparówką* zwa-nego gdzie wykopano ich cały garnek. Są między nie-mi monety stare i rzadkie, jak kwartnik Kaźmirza Wielkiego, denar Władysława Jagiełły, oprócz wiel-kiej liczby nowszych mniejszej wartości. Wykopa-no też kamień z herbami i napisem, świadczącym iż był umieszczony w murze otaczającym miasto na pamiątkę restauracyi miejskich warowni za starosty Mieleckiego, pod panowaniem Zygmunta Augusta. Drugi znów znaleziono kamień starożytny z napisem ormiańskim.

Rozkopano też mogiłę, w której znaleziono wielką ilość czaszek tatarskich. W tém to właśnie miejscu, stoczył hetman Jabłonowski w r. 1696 ów bój za-cięty, zakończony zupełną klęską Tatarów. Mogiła o której mowa, jest pamiątką owej bitwy. Na mo-ście kolejowym, zbudowanym obecnie w tém miejscu, wmurowaną będzie za staraniem konserwatora tabli-ca ze stosownym napisem. W pobliżu znaleziono jeszcze złamany koncerz husarski.

(*) Przerys jej dajemy drugostronnie. Jest to mała kary-tyda, z dawnego rzymskiego wzoru skopiowana; ta bowiem okoliczność, iż jest odlewem żelaznym, świadczy że nie jest pierwotnie rzymską, lecz z późniejszych pochodzi czasów, z e-poki renesansu, najdalej z XVI lub XV wieku. U spodu u-mieszczona szrubka wskazuje, iż była przeznaczoną do umoco-wania na czémś; prawdopodobnie musiała służyć za ozdobę jakiegoś ganku, sprzętu, lub kominka w średniowiecznej ko-mnacie. Warto ażeby archeologowie ocenili dokładnie ten wy-bornie zachowany zabytek sztuki, jak się zdaje średniowiecznej, urobionej na wzorach starożytnych.

Od starożytności, przejdźmy na chwilę do zajęć obecnych. Śród ciszy jaka zwykle w tej porze przedadwentowej przy zbliżającej się zimie ogarnia miasto, zajmujemy się, rzecz można, wyłącznie nie-mal pracami naukowymi, mającemi szerzenie oświa-ty na celu.

Od lat kilku przyjął się tu zwyczaj urządzania pu-blicznych wykładów naukowych w rozmaitych przed-miotach i dla rozmaitych sfer publiczności. Rok obecny nie pozostał w tym względzie po za innymi, owszem przewyższył dawniejsze liczbą i różnaitością wykładów. Profesorowie szkoły realnej urządzili zupełny kurs naukowy dla kobiet, mający zastąpić gimnazjum wyższe żeńskie, którego nie mamy do-tąd. Wykłady te odbywają się codziennie po dwie godziny. Trwać mają, z wyjątkiem zapust, przez dwadzieścia cztery tygodnie i obejmują dwanaście rozmaitych przedmiotów, w które, oprócz nauk przyrodniczych, fizyki, zoologii, mineralogii, wykładanych szczegółowo, wchodzi także historia powszechna, psychologia, buchalterya i t. p. Każdy profesor ma jedną godzinę w swym przedmiocie tygodniowo, tak iż przedmiot każdy ma być w dwudziestu czterech godzinach zamknięty. Jakkolwiek pomysł jest sam w sobie dobry i został też skwapliwie przez tutejszy świat żeński powitany, albowiem po sto kilkadziesiąt pań zaczęło uczęszczać na te wykłady, tak iż wielka sala w gmachu radnym, gdzie się one odbywają, jest zawsze zapełniona, — wszelako program ich nie odpowiada zadaniu swemu i z tego też powodu nie może przynieść spodziewanych korzyści. Sama już rozliczność i rozległość przedmiotów objętych pro-gramem, dozwala tylko podać je po bardzo szczupłej szczypcie i powierzchownie, co też głównym jest jego błędem. Szkoda że z tej przyczyny wzmian-kowane wykłady nie mogą przynieść wiele istotnego pożytku, tém bardziej iż z powodu niskiej ceny wni-jścia, wynoszącej 6 zł. w. a. za cały kurs, są bardzo przystępne dla wszystkich.

Dla rzemieślników, sług i wogóle stanów pracują-cych, urządzono znów wykłady niedzielne w szkoł-kach parafialnych po przedmieściach. Wykłady te muszą z przeznaczenia swego zajmować się przedmio-tami mającemi najbliższą styczność z życiem codzien-nem, z powszednimi zajęciami tych, dla których są przeznaczone.

Tu już niema najmniejszego systemu w wyborze przedmiotów. Zeszłej niedzieli w jednej szkółce mówiono o sposobie należytego obcowania z ludźmi, w innej mają być opowiedziane niektóre głównejsze chwile z dziejów Lwowa i t. p.

Oddział lwowski Towarzystwa gospodarskiego urządził także dziesięć odczytów publicznych, w przedmiotach dotyczących gospodarstwa i ekono-mii społecznej. Odczyty te tém się różnią od innych, iż nad przedmiotami będącemi ich treścią toczyć się może rozprawa naukowa, dążąca do wyświecenia wszechstronnego zadań poruszonych w odczycie. Szereg ich rozpoczyna rozprawą o leśnictwie p. Hen-ryk Strzelecki, członek komitetu Towarzystwa go-spodarskiego i nadleśniczy lasów miejskich. Na-stępnie, oprócz profesorów szkoły dublańskiej, ma mieć odczyt redaktor „*Rolnika*“, profesor chemii w akademii technicznej, p. Ginsberg: *O teoryi i prak-tyce rolniczej*; p. Kaźmirz Chłędowski: *O Systemie ekonomicznym Careya* i t. p.

Zawiązane w tym roku Towarzystwo naukowo-lite-rackie, postanowiło również w ciągu zimy urządzić kil-kanastie wykładów naukowych i zaprosiło, oprócz miejscowych, także kilku w zawodzie naukowym znakomych mężów, jak Libelta, do udziału w tych wykładach. Oprócz tego wykładu p. Henryk Szmitt dwa razy tygodniowo, co wtorek i sobota, dzieje no-wsze; p. Tadeusz Romanowicz ekonomiczną społeczną sposobem popularnym dla czeladzi rzemieślniczej, a panna Felicya Wasilewska, właścicielka piérw-szego tutejszego zakładu wychowawczego żeńskiego, otworzyła kurs publiczny dla kobiet dziejów litera-tury powszechnej.

KOŚCIÓŁ PARAFIALNY

w mieście Wilkowyskach.

(W gubernii suwalskiej.)

Kiedy niszcząca ręka czasu coraz więcej zacięra ślady dawnego budownictwa, z dniem sprawe każdym stają się rzadszymi nietylko owe kromne modrzewiowe dworki, dotąd rzewną pieśnią wspomnienia dźwięczące w ustach ludu, ale nawet i trwalsze budynki z muru i cegły, wniesione ku czci Najwyższego. Możeż być zatem obojętnym dla kogokolwiek, jeśli napotka, tu lub owdzie, dochowane takie pomniki? A niełatwo i o to w naszych czasach, terażniejszy bowiem sposób odbywania podróży, nie sprzyja bynajmniej czynieniu uwag nad przedmiotami, które siedzącemu w wagonie, niby fantastyczne widziadła, zaledwie mignawszy, znikają przed oczyma.

Ta to właśnie szybkość przenoszenia się z miejsca na miejsce, spowodować musi niemałe zadziwienie każdemu, co po krótkiej podróży koleją żelazną, ujrzy się na nierównym bruku miasta Wilkowyszek, zaraz na wstępie powitany przez pierwszego przechodnia dziwnie brzmiącymi słowy: Apogorbites Jezu Christe! (Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!); gdyż nie tak prędko zdołał oswoić się z tą myślą, że nagle przeniesiony został w prastarą dziedzinę Gedyminową, pośród tego twardego a pobożnego ludu, w którego łonie ziarno świętej Chrystusowej nauki, raz rzucone, głęboko zapuściło korzenie.

Otóż przypuśćmy, szanowni czytelnicy, że znajdujemy się w Wilkowyskach, o 345 i pół wiorsty od Warszawy. Niewielkie to jest miasteczko, liczy bowiem zaledwie 381 domów, i to po większej części drewnianych, (znajdują się także i murowane, lubo w dość małej liczbie) a pomimo sąsiedztwa kolei że-

laznej i przechodzącej przez środek szosy, wiodącej z Wierzbółowa do Maryampola, oraz przeniesienia tu obecnie biura naczelnika powiatu, nie posiada żadnej odrębnej cechy, któraby je odróżniała od innych miasteczek. A jednak nie zrażajcie się tym zwro-

r. 1620 z drzewa, na podmurowaniu kamiennym, ma długości łokci 46 i pół, szerokości łokci 17, a wysokości łokci 10. Dwie wieże zdobiące go z frontu, w r. 1818 znacznemu uległy uszkodzeniu; w skutek bowiem gwałtownego wiatru, żelazne krzyże mieszczące się na ich szczytach pochylone zostały na kościół i w tym stanie dotąd się znajdują.

Ołtarzy w ogólności jest 5. Po bokach kościoła mieszczą się dwie kaplice i dwie zakrystye. Dziwna rzecz iż kościół ten, pomimo swęj starożytności, dotąd nie jest konsekrowany. Obecnie zostaje on już w stanie blizkiego zniszczenia, a nawet od lat 22 budowniczy kalwaryjskiego powiatu zakwalifikował go do rozebrania.

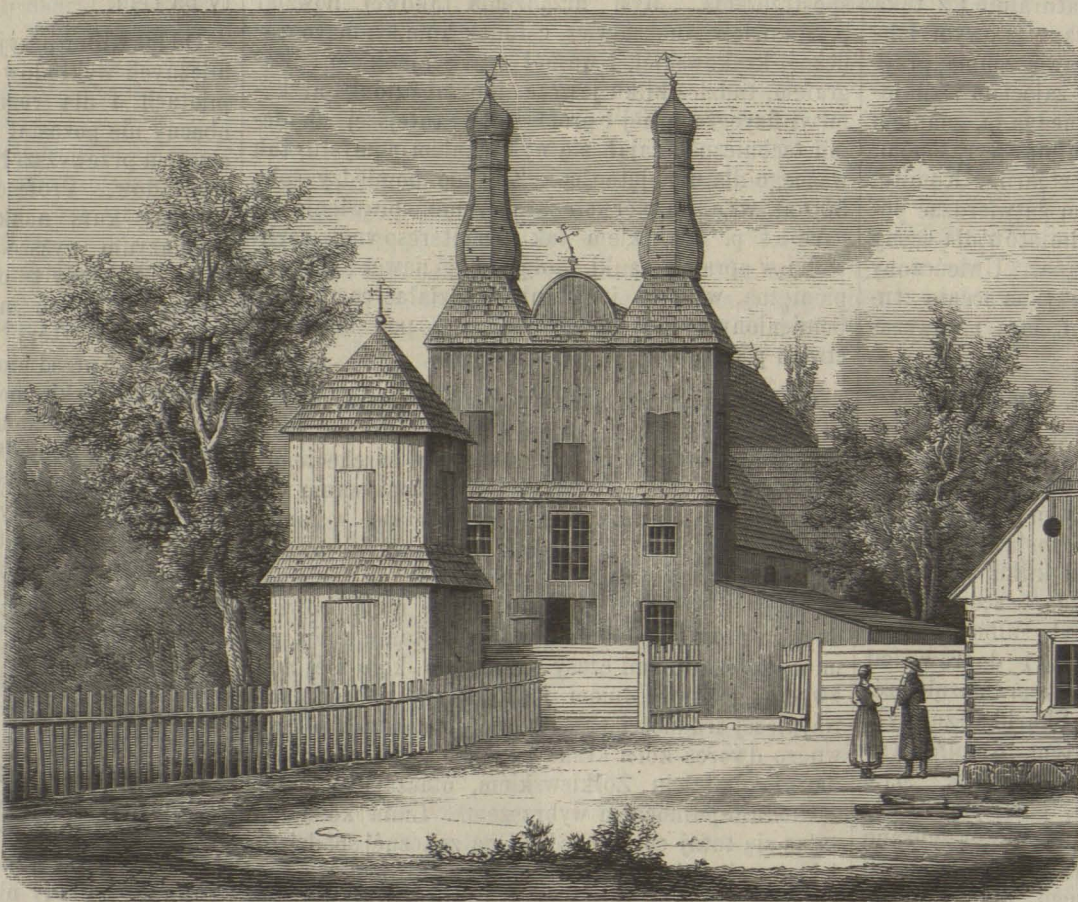
W miejsce jego ma stanąć inny, murowany, czego wkrótce spodziewać się należy, ze względu na pobożność tamecznej ludności.

Parafia należąca do kościoła Nawiedzenia N. Maryi Panny składa się, oprócz miasta Wilkowyszek, z folwarków 9 i 77 wsi i obejmuje osiem tysięcy trzysta osób.

Otóżci wszystko, cośmy zdołali zebrać na miejscu ze szczegółów dotyczących przedstawionego na rycinie kościoła; samo zaś miasto, jak się już wyżej powiedziało, nie zawiera nic więcej zasługującego na bliższą uwagę.

Lud tutejszy mówi narzeczem czysto litewskim i rzewną pieśnią słodzi sobie pracę około roli, która w tych stronach, będąc bardzo żyzną, sprzyja wielce rozwinięciu gospodarstwa wiejskiego.

E. Leja.



Kościół drewniany w Wilkowyskach. (Rysował z natury Milkuszyca.)

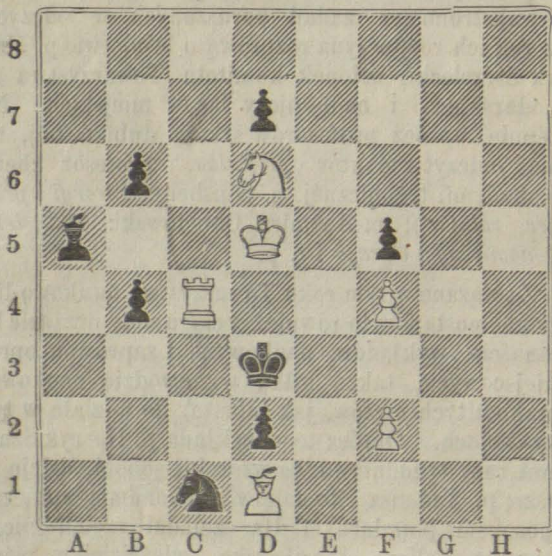
tem do miejsca, o którym nawet w Starożytniej Polsce, tak starannie opracowanej przez Balińskiego i Lipińskiego, lekką zaledwie napotkacie wzmiankę, lecz raczcie rzucić okiem na dołączoną tu rycinę, przedstawiającą jaknajwierniej starożytny drewniany kościół w Wilkowyskach, który pomimo nietrwa-

Szachy.

ZADANIE XL.

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 39.

Białe.

Czarne.

- | | |
|--------------------|-----------------|
| 1) H7—E7 | 1) C6—E7 biorą. |
| 2) C5—D4 | 2) E7—G8 biorą. |
| 3) A7—C8 | 3) G8—H6 biorą. |
| 4) C8—E7 † i mat. | |



Posązek żelazny, wykopany w okolicach Lwowa.

łości materiału jakiego użyto na jego zbudowanie, już od lat 248 brzmi chwałą Pana nad Pany z ust tylu pokoleń.

Kościół ten, wzniesiony pod tytułem Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, zawdzięcza istnienie swoje Stefanowi Pacowi staroście preńskimemu. Zbudowany

O SZTUCE W STAROŻYTNEJ GRECYI.

Z powodu dzieła Józefa Kremera: „Grecya starożytna i jej sztuka, zwłaszcza rzeźba“

przez

Kazimirza Kaszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Rzeźba w Grecyi doprowadzoną została do szczególnej doskonałości, uprawianą była z największym zamiłowaniem, a to, jak się domyślać można, skut-

(Ob. dodatek.)

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 49.

Statek ciągnie za sobą dostatek.

(Dodatek.)

kiem usposobienia ludu do wyrażania osobowości, treści duchowej. Ze zaś ta treść nie może mieć odpowiedniejszego umysłowania nad postać człowieka, przeto ku tej postaci głównie myśl swą i zapalźwócił artysta grecki. Tej też sztuce, z tych i z innych powodów, najobszerniejsze miejsce dał w swój książce p. Kremer. Jak w ogólnych uwagach nad sztuką trzymał się autor zasady Hegla, tak w rozdziale o rzeźbie za przewodnika wziął sobie ucznia jego, Vischera. Chcąc dać wyobrażenie o tém czego poucza ten rozdział, trzeba by wszystko zeń chyba przytoczyć: jest to bowiem doskonałość w swoim rodzaju. Nie mogąc nie swojego dodać do tego rozdziału, ani nieczemu zaprzeczyć, zniewoleni jesteśmy tylko odesłać czytelnika do samej książki, jeśli pragnie oświecić się i dowiedzieć, czém rzeźba jest w swój wewnętrznej istocie, czém nie powierzchownie, ale że tak powiem duchowo różni się ona od malarstwa i jakie jęj z niem pokrewieństwo, jakie różnice rzeźby greckiej od średniowiecznej i późniejszej, jakie wreszcie warunki tworzą doskonałe dzieła rzeźbiarskie. Nie możemy jednak przenieść na siebie, aby nie przytoczyć, choć na próbkę wykładu, słów samego autora, i w tym celu wybieramy opis posagu.

„Posąg grecki, powiada autor, jest zwiastunem duszy pełnej prostoty, która całym życiem żyje w świecie rzeczywistym, fizycznym, która nie cofnęła się w głębiny tajemnicze swojego wnętrza, a w której jednak to życie zewnętrzne nie wyklucza moralnego znaczenia. Bo sama tęgość, sytość wątku, jest tutaj godłem litego, sytego w sobie charakteru, opierającego się na sobie samym, na własnym punkcie ciężenia, jako charakter samodzielny, bez rozdzielenia w sobie, który nie zerwał z naturą, który jest z nią jakby z jednego odlewu, a jest obrazem obejmującym w sobie całą społeczność i cały jęj obyczaj, całe jęj społeczne sumienie. Jest to więc charakter zasługujący na uwiecznienie pomnikiem monumentalnym, jakim jest posąg. A sama bezbarwność posagu wyraża trwanie w sobie nierozpływne, nieznikające nigdy, duch nieruchomy wyjawia panowanie nad sobą, piękność proporcji członków zwiastuje harmonią i ciszę wewnętrzną ducha... Posąg jest samotny, ciało jego jest przedstawcą całej natury, całego umysłowego świata, posąg też cały świat przyrodzony w sobie wessał, zatem też kompozycja jego winna być ujęta wielkim, wspaniałym stylem; więc posąg też z tej nawet przyczyny mniej przedstawia indywidualność, ale przedstawia ogół a rodzaj cały. Boć nawet watek bezbarwny, czyli raczej barwa rodzima wątku, jest ogólną, wiecznotrwałą, abstrakcyjną, nierozpływającą się w niepełnościach. Ztąd wynika, iż nawet wtedy gdy zadaniem rzeźbiarza jest portretowanie, oddanie jakiejś pewnej indywidualności, on winien tę indywidualność stylizować, idealizować, to jest winien te formy indywidualne łagodzić, o ile się zbyt oddalają od ogólnej modły kształtów ludzkich a form ogólnej piękności, i z tego właśnie zadania doskonale umieli wywiązywać się Grecy... Lud grecki, dla którego rzeźba była najwłaściwszą sztuką, nie znał jeszcze owych indywidualnych, tajemniczych głębin uczuciowych, wyrażających się obliczem, a zwłaszcza w spojrzeniu, w oczach, które są duszy a jęj tajemnic stolicą, indywidualności ogniskiem. Czy są ni by tylko organem myślowym, doczesnym, organem arcydrobnym, a jednak patrzą z przepaści bezdennych innego świata i oczyniają, urzekają magią mistyczną, nadzwyczajną. Ale oblicze i to wejrzenie są rzeczą malowanego obrazu. Rzeźba, mistrzyni nieporównana w tworzeniu cudnych i pełnych piękności form cielesnych, niezdolna jest wywołać na obliczach rzeźbionych tego wdzięku misternego. Czy rzeźbionej postaci patrzają gdzieś w dal nieskończoną, a nie widzą; ta postać w pogańskim świecie poczęta, nie ma jeszcze światła wewnątrz siebie, ale jeszcze oświecona światłem zewnętrznym, światłem natury, słońcem.“

Ten posąg w jego ideale, który tu autor opisuje a posteriori, zdaje się że się tworzy podług wywodzonych przezeń zasad. Opis ten ogólny rozwoździ następnie autor i stosuje do wszystkich szczegółów, od stóp do czubka głowy, do draperyi i układu, każdy szczegół wiążąc z ogólnym prawem estetycznym i tłumacząc znaczenie metody rzeźbiarskiej. Od rzeźby pełnej przechodzi do płaskorzeźby, której Grecy

używali dla upamiętnienia epizodów religijnych i wszelkich wypadków z dziejów swego kraju. I tu natura gałęzi tej, która stanowi już przejście do malarstwa, docieczona i opisana w warunkach swych z równą trafnością i umiejętnością jak poprzednie. Z całego tego działu czytelnik z wielką łatwością dowiaduje się rzeczy, które były mu tajemnicą przy rozpatrywaniu dzieł sztuki rzeźbiarskiej, i mocno przekonani jesteśmy, że kto nieświadomy uważnie przeczyta ten ustęp, z innem wcale zajęciem dziełom tym przypatrywać się będzie (*).

Po teorii, następuje pogląd na szczegółowe dzieła rzeźby greckiej, jakie nam dotąd czy w całości, czy w ułamkach lub kopiach pozostały. Oczywiście że aby dać poznać te dzieła, prowadzi autor do ich najwyższej świątyni ze starożytnych czasów, do Partenonu, na Akropolis w Atenach, i tam rozgląda utwory największego geniusza ziemskiego w dziedzinie rzeźby — Fidyasa, na którego wspomnienie drży serce każdego artysty, każdego prawdziwie miłującego sztukę człowieka. Niebędziemy tu przytaczać aż nadto zkądnadź znanego opisu arcydzieł tego mistrza, jak Pallas-Atene i Jowisz olimpijski. P. Kremer w tym względzie nie gorszym jest sprawozdawcą od swych poprzedników; to tylko zaznaczmy, że o ile teoria estetyczna rzeźby jaką podał w swój książce, zawiera w treści niemal wszystko co ściśle potrzebnem jest dla nauki, o tyle historia nie jest całkowicie wyczerpująca.

Kwestya zaś historyi rzeźby témbardziej poruszoną być winna, że jest nawet pewien system, który, na drodze doskonalenia się rzeźby greckiej, Fidyasa stawia pośrodku i zenitu upatruje gdzieindziej. Estetyk winien się w tym względzie zdeklarować i innym zdanie swe wymotywowane pod sąd a przekonanie poddać.

Nam się wydaje, że mylono się długi czas we względzie pochodzenia jakiego odbywała rzeźba grecka, od jęj pojawienia się, aż do ostatnich arcydzieł. Jedni, jak Winkelman i jego komentatorowie niemieccy, wyobrażali sobie ten pochod jak rozwój ciągły a nieprzerwany, od Dedala aż do Praxytelesa. Po dług nich ten to dopiero mistrz pierwszy dzieła swe uwieńczył koroną doskonałości, która jest ostatnim wyrazem sztuki. Fidyasz, geniusz wysoki, traci wszelako barbaryzm; jest i u niego piękność, ale surowa, bez gracyi; jest wielkość, ale bez delikatności. Wilhelm Szegel, chcąc dać charakterystykę trzech tragików greckich, porównywa Eschyła z Fidyaszem, Sofokla z Praxytelem, a Eurypidesa z Lycopem. Inni, jak Emeryk Dawid, uznają szybkość i wielkość postępu dokonanego w rzeźbie przez Fidyasa, twierdzą, że ona rozwijała się postępowo i dalej aż do epoki Agezandra, twórcy Laokona. Według tego systematu Fidyasz wy dobył sztukę z niemowlęctwa i stagnacji i odrazu stawił ją na wyżynach potęgi i blasku. Przeszedł go jednak młodszy współzawodnik, Polyktet, który umiejętniej potrafił reprodukowac harmonią i piękność postaci ludzkiej. Po nim Praxyteles odznaczać się ma wykwinną gracyą i delikatnym wykończeniem dzieł posuniętych w doskonałości tak daleko, jak dotąd nie były nigdy. Nareszcie Agezander do tych wszystkich zalet dodaje nadto wyraz dramatyczności, i tym sposobem zamyka szereg udoskoleń rzeźby.

Wszystko to, zdaniem naszym, wchodzi w granice szkolnego zapatrywania się i przesądu. Wspomnieni tu rzeźbiarze byli bez zaprzeczenia mistrzami wielkimi i chwałę przynoszą sztuce greckiej; ale inna rzecz patrzeć na nich w oderwaniu, inna porównywać w warunkach ścisłej estetyki. I bez Fidyasa rzeźba pozostałaby wielką, — z nim jest nieporównana.

Polyktet, ów przywódzca szkoły współzawodni-

(*) Ażeby oddać należyta sprawiedliwość pisarzom naszym, dobrze jest czasami porównać dzieła ich z obcemi. Otóż wyszła lat temu kilka Estetyka p. Karola Leveque, premiowana przez Instytut francuzki, to dosyć powiedzieć. W tém „uwieńczonym“ dziele, jeśli zajrzemy do rozdziału o rzeźbie, skończonym na kilkunastu kartkach, znajdziemy wprawdzie opis kilku arcydzieł, i to prawie dosłownie wzięty z Otfrieda Müllera i Quatremèra, ale zasad estetycznych, teorii prawie żadnej; nad tém co najważniejsze, nie chciało się głowy Francuzowi łamać. Nasz autor wprawdzie posilkował się Vischerem, ale czemuż i tamten do niego nie zajrzała, by pismo swe wzbogacić i istnie pożytecznym uczynić.

(Przyp. autora artykułu).

czając ze szkołą ateńską, miał zapewne stronników co go wywyższali nad ateńskiego mistrza. Przy wielkim a oryginalnym talencie, przy tej doskonałości wykończenia jaką posagom swym nadawał, nie dziwnego że mógł więcej niż Fidyasz podobać się amatorom i krytykom z epoki rzymskiej, wydającym sądy w duchu swego czasu. Ale kto ma prawdziwe poczucie piękna w sztuce, ten niełatwo pojmie coś piękniejszego, coś doskonalszego, jak Fidyaszowa statua *Bachusa* we froncie wschodnim Partenonu (*), a wytłumaczyć sobie w obliczu tego arcydzieła niepodobna, by je coś przewyższyć mogło. Ale to przypuścić łatwo, że mogła istnieć jakaś sztuka systematyczna, która na miejsce żywego naśladowania natury, na miejsce swobodnej oryginalności fidaszowego stylu, podstawiła piękności konwencyjne i umyśliła za pomocą środków szkolnych realizować ideał powzięty w rozumie. Nie zbywało po wszystkie czasy, a mianowicie w czasach upadku, na ludziach, którzy nad najcudowniejsze kreacje geniuszu, jedyne w swoim rodzaju, a do naśladowania niepodobne, przenoszą utwory błyskające świetnością społecznego gustu, łatwiejsze do pojęcia, czarujące umysł jasnością, oczy symetrią i ześrodkowujące w sobie cały dokonany do ich zjawienia się postęp, wszystkie udoskonalenia nabyte przez długie doświadczenie w sztuce. Po Szekspirze dostępniejszy Szyller, po Szyllerze Wiktor Hugo; im dalej, tém większe bogactwo stylu, wdzięczniejsza forma, jaskrawsza fraza, środki dramatyczne efektowniejsze. Ale czyż to taką miarą mierzyć należy wziętość bezwzględna utworu? Czyż dla prawdziwego znawcy Szekspira, z całą rubasnością językową, z całą niezdarnością sceniczną, z całą prostotą środków, nie jest mistrzem dramatu wyższym od układniejszych, wdzięczniejszych, przystępniejszych dzisiejszemu gustowi?

Zarzucają Fidyaszowi brak gracyi. I to nieprawda. Sam przecież Winkelman przyznaje, że dwie są Gracye w sztuce, tak jak dwie Wenery. Pierwsza, córka Harmonii, podobna jest Wenerze niebiańskiej; druga jest dziećciem Czasu, służebną tamtęj, którą, dodajmy, córka Harmonii zmienia według upodobania. Fidyasz miał znać tę tylko pierwszą, surową, tę którą Pallas zléwa na Ulysesa w Odysei, i ona to świetnieje w posagu Jowisza Olimpijskiego, co powstał w umyśle Fidyasa z trzech wieńszy Iliady, które p. Kremer w książce swój dość wiernie wytłumaczył (**).

Praxyteles dopiero miał połączyć jedną z drugą, przez co stał się wyższym od Fidyasa. Ażeby zbic to twierdzenie, dość spojrzeć na jego boginie morskie, u tegoż wschodniego frontonu w Partenonie, które przedstawiają nam właśnie wzory i tej nawet gracyi, w której tak celował Praxyteles. Bo zkądżeż powstaje ta gracya? Oto, według słów samego Winkelmana, tworzy się ona w akcji i poruszeniu ciała; widnieje nawet w stroju i zarzuceniu szat. Wszystko to właśnie widzimy w boginiach morskich, z których jedna z całą miękkością opada w objęcia drugiej, których draperye nawet z taką delikatnością spływają po pełnem wdzięku ciele. Pokazuje się zatem, że Fidyasz nie bez powodzenia zalecał się i do tej drugiej gracyi, więcej doczesnej i ziemskiej, że pod tym względem nie miał czego Praxytelesowi zazdrościć.

Ale on nie po to przyszedł na świat. On w dziełach swych łączy najwyższą sztukę, z najwyższą prostotą. Jego Gracya jest czystą córą Harmonii, jest wdziękiem niebiańskim; wzbudza ona zarazem

(*) Nigdy nie zdarzyło nam się, na nieszczęście, tym arcydziełom przypatrywać w oryginalach. Zazdroszcząc tym dla których losy były pod tym względem łaskawsze, studia nasze zasadzaliśmy na reprodukcjach i kopiach, przy przewodnictwie dzieł estetycznych. Trudno to nieco, ale z reprodukcji sumiennej zawsze można dobrać się do głównej idei dzieła. Gdybyśmy się jednak mylili, to w winę naszą wciągnąć musielibyśmy i też reprodukcje i estetyków, na których zaręczeniach polegamy. Rozumiemy niedokładność krytyki, która nie ma w wszystkich potrzebnych środkach na swe zawołanie; ale może i czytelnicy zrozumieją, dlaczego niezawsze tę niedokładność można usunąć.

(Przyp. autora artykułu).

(**) Dosłownie wiersze te brzmią jak następuje:

Rzekł, i czarne brwi zmarszczył syn Krona;
Ambrozya wonne włosy wstrząsły się na króla
Niesmiertelnej głowie, i wielki zadrzał Olimp.

(Ilias. ks. I, w. 528).

szacunek i miłość, majestat miarkuje łagodnością, a potęgę swobodą. Jego gracia powstaje z siły spokojnej, która nie czuje żadnej potrzeby produkowania się na zewnątrz, ale spoczywa w sobie samém w pewnym stanie sytości. Styl Fidyasa jest zarazem realnym i idealnym: realnym jest skutkiem uważnych studyów i umiejętnego naśladowania natury; idealnym, skutkiem głębokiej znajomości praw organizacyi i wielkiego poczucia żywotności. Realność jego objawia się w dziwnej naturalności układu i gestów, w charakterystycznej prawdzie ruchów; idealność wypływa z mocnego poczucia godności i piękności kształtów ludzkich, jaką oddychają wszystkie jego postacie. U Fidyasa ideał i rzeczywistość równoważą się z sobą i przenikają wzajem. Wspaniały ideał pomysłu rozlewa poetyczne światło na rzeczywistość wykonania, a ta rzeczywistość szczegółów nadaje życie poetyczności ogółu: jest to ten wielki, epiczny styl rzeźby, właściwy ozdobie wielkich budowli, który chwałą okrył szkołę ateńską. Do traktatu o rzeźbie greckiej należałoby powiedzieć, z kąd powstał Fidyasz, jakie miał przed sobą wzory, oraz jaki był los tej sztuki, przy zmianie obyczajów i stosunków politycznych państwa. Co do tego ostatniego punktu, to jest epok pofidyaszowych, p. Kremer wyraził się dość jasno, ale jak na książkę instrukcyjną, zaogólnikowo. Wciąż on wreszcie, jak tu, tak i w innych miejscach, odsyła do szczegółów i uzupełnienia do swój *Podróż do Włoch*, w której te rzeczy obszernie przedstawił. Wygodnie to dla autora, ale niewygodnie dla czytelnika obecnej książki, i wątpię aby autor tego samego środka używał przy wykładzie z katedry. Tu cała uwaga zwrócona jest na Fidyasa i kilkanaście ustępów poświęcono temu co nastąpiło po nim; ale o tem co było przed nim, nie powiedziano prawie ani słowa.

(Dokończenie nastąpi.)

№ 242

Z dziedziny malarstwa i rzeźby.

(Dokończenie).

Zanim z malarstwem skończywszy, ku rzeźbie przejdziemy, nie od rzeczy będzie zwrócić jeszcze uwagę na znakomity postęp w sztuce sztycharza Redlicha. Chcemy tu mówić o najświetniejszej pracy tego artysty, będącej odtworzeniem nieznanego nam oryginału (podobno Cynka). Przedstawia on *Miecznika z Maryją*, strapionych odebranych listem. Wyborny ten miedzioryt, posiada niemal zalety kolorytu. Miękość tonów, uczucie w ich stopniowaniu i w ogóle dziwny wdzięk wdotknięciu rylcem, stawia ten sztych na równi z niejednym w tym względzie wzorem. Nie należy się zrażać podaną na nim ceną sześciu rubli, — jest to bowiem cena nielicznych tylko odbić początkowych, tak zwanych *avant la lettre*, wprawdzie najszacowniejszych; zato dalsze zapewne nierównie, bo może nawet o połowę, będą tańsze.

Zastęp rzeźby, jak zawsze najszczerzejszy, przedstawia nam tylko cztery nowe nabytki — wszystkie co do jednego *portrety*. Najcelniejszy pomiędzy nimi, roboty p. Pruszyńskiego, posiada niemało zalet wprawdy technicznej, poprawności rysunku, zręcznego modelowania; z tem wszystkiemi całość mocno chłodno robi wrażenie. Niezaprzeczenie jest tu natura, ale wolelibyśmy mniej realizmu, a raczej tej fotograficznej bezwiedzy, która, prócz ogólnikowego najmniej niekorzystnych warunków obmyślenia, zresztą żadnego innego wysiłku w dzieło sztuki nie wkłada. Mniemamy, że tu chyba maskę znać zanadto. Nazbyt wiele dano jej znaczenia, nazbyt się na nią spuszczone, nazbyt wiele wiary włożono w jej słowa. Słowa to przecież bezduszne, bezmyślne i w ogóle będące złym podszeptem dla artysty, o ile go kuszą ułatwieniem mu środków działania.

Zarzut powyższy zmuszonymi się widzimy zastanawiać również i do *medaljonu*, będącego portretem Simmlera. Nie ujmując tej pracy ogólnych, jak i wprzód, zalet, nie możemy jej przyznać wyrazu, a nawet życia. Podobieństwo też więcej tu niż pobieżne.

Pozostaje jeszcze *medalion* p. Steinmanna, będący także, jak się zdaje, portretem. Trudno jednak uwierzyć, aby był robiony z natury, prędzej nierównie z pamięci, i to niezbyt wytrwałej; uwierzyć bowiem niepodobna, żeby n. p. ucho mogło się znajdować w miejscu, w jakim je sobie życzy mieć medalion. Ale może to pierwsza sił próba, i ztąd zbywa jej na poprawności. Tak przynajmniej wnosić się godzi z pewnej stylu przesady, choć znowu tem samém niepodobna tu odmówić stylu. Więc czekajmy i miejmy nadzieję, — dobra szkoła bywa przedewszystkiemi wyrozumiałością szkołą.

Na zakończenie, niech nam wolno będzie zwrócić jeszcze uwagę na kilka *wzorów sztuki średniowiecznej*, z niesłychaną sumiennością odtworzonych piórem i ołówkiem. Są to prawdziwe cuda cierpliwości, nie mówiąc już o tem, że i rzeczy wielkiej wagi. Publiczność obojętnie je omija, ani bowiem na drodze nie stoją, ani w oczy nie biją. Przytulone po kątach, siedzą sobie niemal w skrytości. Nieliczna tylko garstka archeologów z miłością rozpatruje te stare zabytki niedzisiejszych czasów, nieme dla tłumy, ale dla powołanych jakże wymowne! Otóż mniemamy, że może nie bez pożytku będzie dołączyć do nich niejaki wyjaśnienie. Są to, jak się rzekło, mozolnych studyów owoce, ze wszech miar zasługujące na uznanie. Twórcą ich jest pan Maksymilian Cercha, profesor rysunku w Krakowie. To co tu widzimy, szczupłą jest tylko częścią olbrzymiego zbioru, który już w tym przedmiocie nagromadził, jak o tem powiemy poniżej. W trzech nadesłanych obecnie na wystawie przerysach, widocznie przedstawić chciano próby trzech rzeźby stylów, to jest: czystego gotyku, mieszanego i wreszcie epoki odrodzenia. Pierwszym z porządku jest brązowy *pomnik Piotra Kmity*, pana na Wiśniczu, dziwnie wytworny w wykonaniu, jeden podobno z najrzadszych w tym rodzaju u nas wzorów. Drugim jest *grobowiec kardynała Fryderyka Jagiellończyka*, bogactwem szczegółów nie ustępujący poprzedniemu; zato ornamentyka mniej tu czystego już stylu. Trzeci nareszcie, będący pomnikiem *Stanisława Borha*, dość rubaszny w wykończeniu głównej postaci, wielce jest znowu piękny w ozdobach, w które włożono całe bogactwo owoczesnego stylu. Dziwny tu wszędzie wdzięk, urozmaicenie i fantazyja. Snadź artysta z tej strony raczej był biegłym. Wszystkie te trzy zabytki (jak bądź na ostatnim tylko wyczytano datę), pochodzą niewątpliwie z XV wieku. Zbytecznaby tu zwracać uwagę na delikatność wykończenia tych szacownych przerysów; wiemy zresztą z kądinąd, że są dziwnie wierne. Podobna robota jest tedy ze wszech miar pomnikową. Cóż dopiero gdy jeszcze skompletowana zostanie. Jak powiedzieliśmy, mała to tylko próba ogromu pracy jednego, jedyne człowieka, który już przy żelaznej wytrwałości posiada podobnych rysunków zbior cały. Jest ich już blisko kilkaset, po większej części wykończonych akwarelami. Składały się na to wszystkie kościoły Krakowa, z wyjątkiem jeszcze katedry. Po wyczerpaniu i tej ostatniej, pan Cercha ma zamiar zbior cały uporządkować wiekami (poczynając od XIV) a następnie wydać go z objaśniającym tekstem. Ale czy znajdzie na to nakładcę, a następnie nabywców? daj Boże! szczęść Boże! Co do nas, niech nam wolno będzie raz jeszcze schylić czoło przed zasługą cichego pracownika, który dla miłości nie wszystkim dostępnego piękna, w kraju jak nasz nie nazbyt do powagi pochopnym, sam jeden podjął mrówczą pracę, na jaką gdzieindziej składają się całe stowarzyszenia. Ostatecznie, ażeby oddać co się komu należy, z przyjemnością wyznać pośpieszamy, że szczegóły dotyczące się pana Cerchy wyczerpaliśmy z notatek uprzejmie nam udzielonych przez p. Dudraka, godnego jego ucznia, który także już się dał poznać czytelnikom naszego pisma z mistrzowskiej reprodukcji Stwoszewego tryptyku, znajdującego się u Sgo. Floryana, na Kleparzu. Obecnie młody ten artysta, w ślady mistrza swego wstępując, rozpoczął rysunek wiekopomnego Maryackiego ołtarza, na ogromną, niepraktykowaną jeszcze dotąd przez nikogo skalę.

Ze świata muzycznego.

Pora koncertowa, jak wiadomo, rozpoczęła się tej jesieni kilku koncertami pełnemi świetności, chociaż nie brakło ich i w lecie, że tylko o samym koncercie p. Zarzyckiego wspomniemy. Mimo blasku ostatnich występów, osobliwie koncertu p. Wieniawskiego, programat koncertowy bynajmniej się nie umniejszył, a nowi zapaśnicy, do rzędu których należy i p. Kleczyński, wystąpili w szranki.

Pan Kleczyński jest to artysta nie od dzisiaj znany naszej publiczności. Występował wielokrotnie jako wykonawca u nas i za granicą, a zawsze zaszczytnie. Dążności jego w sztuce były znaczne, a krytyka oddawała sprawiedliwość tak utworom jego pomysłu, jako i ich wykonaniu, aczkolwiek utwory te w niezbyt rozległym zwykłe zamykały ją zakresie.

I sobotni koncert nowym był dowodem dodatnich w ogóle stron artysty p. Kleczyńskiego. Pod względem kompozycyi przedstawił nam nowy, większych rozmiarów utwór, a mianowicie „Trio” (G mol) na fortepian, skrzypce i basetę. Dzieło to składa się z czterech części t. j. z Allegra, Adagia, Scherza i Finału. Allegro (4 $\frac{1}{4}$ con fuoco) po krótkiej introdukcji, daje pierwszy temat szeroko i szlachetnie utrzymany, który najprzód intonują skrzypce, podobnie jak to czynią wkrótce potem i z drugim następnym tematem majorowym. Partya fortepianowa, niezbyt uwydatniona, miejscami dopiero, a osobliwie we środku i ku końcowi, bogato uposażona jest w biegunki, w stylu znanym wprawdzie, lecz ze smakiem i konsekwencją przeprowadzonym. Adagio con moto (3 $\frac{1}{4}$, D dur), część zrazu spokojnie i śpięwnie utrzymana, zakłada się ku środkowi i przerzuca w ustęp czyli intermezzo (3 $\frac{1}{8}$, molto animato, F mol) wszystkie trzy instrumenta do imitacyi lub współdziałania wyzywającego, lubo i tu góruje nad nimi fortepian. Następuje życiem tryskające Scherzo (B dur, 3 $\frac{1}{4}$), przepieczone ustępem śpięwnym i miłym, acz niedosyć oryginalnym. Scherzo to wpada w równie rącho uwijający się Finał (allegro con brio 2 $\frac{1}{4}$), od którego atoli niedosć stanowczo się odrzyna. Finał ten, werwą swego stroju i śpięwnością środkowego cantabile, do końca w duchu ożywiającym całość dzieła utrzymany, godnie je zakończy. W ogóle Trio p. Kleczyńskiego, jeżeli nie uwydatnia się śmiałością i nowością rzutów melodyjnych i modulacyi, ani błyskami geniuszu znamionującymi, zawsze ukazuje nam dzieło pióra wytrawnego artysty, gładko napisane, pełne dążności znacznych i znajomości techniki instrumentów, więc uznania i szacunku godne.

Przymioty które zalecają Trio, odbijają się w wyższym jeszcze stopniu i na innych, lubo mniejszych autora utworach. Owszem, nie krępowana przepisami i wymaganiami sztuki, fantazyja jego swobodniej jeszcze pobujac sobie na tem polu mogła. To też *Circulus Vitiosus*, krakowiak na dwa głosy, wykonany przez pannę Jaroszewiczównę i pana E., a szczególnie pieśń: *Niepodobieństwo*, odśpiewana wybornie przez panią K., jako dwa kawałki nader udatne, niezwykle obudziły zajęcie i powszechny wsali wywołały oklask.

Mechanizm gry p. Kleczyńskiego, do wysokiego wyrobionego stopnia, nie zadziwia przecież nadzwyczajnością. Gra to spokojna, której nawet niegdyś zarzucano pewien chłód i monotonię. Z wad tych jednak szczęśliwie się pan Kleczyński otrząsnął, a jak z jednej strony przy wykonaniu fantazyi Liszta i pieśni Mendelssohna dowiódł, że mu nie zbywa na siłę, ogniu i pewności uderzenia, tak z drugiej odegranie wytwornego, kwiecistemi ozdobami przybranego Poloneza Szopena, jak i pieśni Litofa, zalecało się właściwem wszędzie cieniowaniem, delikatnością i elegancją; a była tam i precyzja w odganiu biegników, którą dawniej gra p. Kleczyńskiego mniej się odznaczała.

Wdzięczni także jesteśmy koncertantowi, że obok dzieł kilku nowszych autorów, podsunął publiczności i starego Bacha, którego dzieła, chociaż przeszło wiekiem całym czasem i pojęć od nas oddzielone, słyszć kiedy niekiedy, choćby dla samego poznania ducha owej epoki, wcale nam nie zawadzi.

UROCZA

POWIEŚĆ -

przez T. T. Jeża.

(Dalszy ciąg).

W jedynej tej izbie mieszkalnej nie było wcale łóżka. Miejsce łóżka, w głębi, w jednym z kątów, zajmował szynkwaz na urząd sporządzony. Była to zagroda osztachetowana, za którą na półkach stały flaszki, kieliszki, kwarty i kwatunki, na koziołkach baryłki z kurkami, a pomiędzy półkami i jedną z baryłek skrzynia na pieniądze, przymocowana do wbitych w ziemię słupów, które jej za podstawę służyły. Drugi róg izby, bliżej drzwi, zajmował piec z okapem, przypiekiem i zapiekiem, służący do spania, a także i za schowanie do naczyń kuchennych, składających się z zawieszono nad ogniskiem kociołka, z kilku garnków glinianych, powyszczerbianych i pary niepolowanych misek. Pomiedzy piecem a szynkwazem stały dwie beczki z poopadaniami obręczami i jedna kadz pod przypiecek podsunięta.

Z przeciwniej strony był cebrzyk z pomjami, a w drugim rogu izby, tuż obok drzwi, inny podobny cebrzyk z wodą. Nad tym ostatnim, na drewnianym kołku, wbitym krzywo w ścianę, wisiał garnuszek, pełniący funkcję kufła. Po pod ścianami wazkie ławy, a przed ławami długi stół i przed stołem zydel, ustawione na wbitych w podłogę nogach, stanowiły resztę sprzętów w tej szynkowej izbie, która mieściła w sobie to wszystko, co w pierwszym okresie cywilizacji odróżnia człowieka od zwierzęcia. A dodać jeszcze potrzeba, że w tejże samej izbie była i piwnica, do której wchodziło się przez umieszczone na środku podłogi drzwi, otwierające się na dwie połowy. Na ścianach daremnie szukałbyś jakiegóż ozdóbki, jakiegóż wianuszka, obrazka lub kawałeczka zwierciadła. Były one puste, nagie i brudne.

Po opisie tym, od stolika przy którym siedzę, słyszę wykrzykniki czytelników:

— Cóż to za niechluj Żyd mieszkał w tej karczemce!...

Przepraszam. Ta karczemka tém właśnie się odznaczała, że w niej nigdy nie mieszkał żaden Żyd. Od pierwszej chwili jak została postawiona, to znaczy od czasu jak ludzie zapamiętają, osiadł w niej chrześcianin, nazwiskiem Fedor Hajda, i ten niejako przyrósł do niej. Był to człowiek bez żadnej przeszłości. Nikt o nim nic nie wiedział, ani nawet jak się właściwie nazywa; bo nazwisko Hajda było raczej przezwiskiem, które mu ludzie nadali od tego, że wyraz „hajda“ najczęściej z jego ust wychodził. Był to ulubiony jego wyraz—jego przysłowie, wzięte z języka obcego i niemające w naszym wyraźnie określonego znaczenia. Da się ono wytłumaczyć przez:

— Idź precz!...

To też Fedor używał go zwykle do pijanych, którzy się mu zapytaniem naprzykrzali, albo też do takich, którzy podochoćwsi sobie, z nadto w izbie swawolili. Tych ostatnich miał zwyczaj brać za kark i wyrzucać na drogę, posyłając im na pożegnanie wyraz:

— Hajda!...

Egzekucją tego rodzaju odbywał bez uniesienia się, z zachowaniem całej zimnej krwi. Oprzec się mu nie było sposobu. O ile bowiem

niepoczesny i na pozór cherlawy, o tyle był żyłasty i silny. Ręce miał niby żelazne. Gdy kogo niemi ujął, to największy chłop wił się jak wijun, ale nic nie mógł poradzić. Jeżeli kto próbował opierać się, to on tylko dłoń mocniej ścisnął i kości w karku zatrzeszczały. To też wzbudzał ku osobie swojej wielkie poszanowanie. Lękano się go jak ognia i na stronie rozpowiadano o nim, że diabłu duszę zaprzedał, że zatem ta wielka jego siła nie jest siłą ludzką, ale nieczystą. Przyczyniało się do tego jeszcze i to, że Fedor miał dziwnie niemiłe wejście. Gęsty, czarny zarost osłaniał mu całą prawie twarz; spoglądał na ludzi zawsze z podelbą, jakby nie chciał pokazać im koloru swoich oczu. Mimo to, a raczej może właśnie dlatego, ludzie szli do Wygnanki. Ciągnęła ich do niej najprzód ciekawość popatrzenia na człowieka związanego z nieczystym, a następnie lepsza miarka wódki jak gdzieindziej. Siaki taki przyznawał w duchu diabłu sumienność w wyższym stopniu, aniżeli szynkarzom niemającym z nim żadnych stosunków, i nie mijał Wygnanki, bez zatrzymania się przy niej i wychylenia pary kwatek.

Siedziała z nim w karczemce stara Horpyna, przy której on wyglądał jak jej syn, jeżeli nie wnuk. Byłaż-bo stara, stara jak świat i tytułowała się żoną Fedora. Ludzie temu wierzyli i nie wierzyli, twierdząc że jeżeli kiedy i gdzie Fedor i Horpyna brali z sobą ślub, to chyba sto lat temu, w polu pod półkopkiem. Patrząc bowiem na zgarbioną jej postać, na pomarszczoną twarz, na żółtkłą cerę, na zapadłe oczy, na ogołoconą z włosów głowę, na to nakoniec, że ani jednego zęba w ustach nie miała, nie można było przypuszczać ażeby być mogła dziewczką na wydaniu w tym samym czasie, w którym Fedor mógł być parobkiem na ożenieniu. Różnicę wieku jaka pomiędzy tém małżeństwem zachodziła, liczyli ludzie na lat najmniej pięćdziesiąt. Przypuszczając zatem że Fedor żeniąc się miał lat dwadzieścia, mógłże on brać ślub z siedemdziesięcioletnią kobietą? To wydawało się niepodobieństwem.

Ot—takie było powszechne mniemanie—sprowadził ich ten, co na kozich łapach chodzi i osadził na Wygnance.. Sprawił im wesele na Łysiej górze i podrzucił dziecko... ażeby ród nie zaginął.

Bo mieli oni dziecko, o którym mówiąc, ludzie ramionami wzruszali.

— Zkąd się ono wzięło?..

— A lichoz to wie!...

Zjawił się przed laty w karczemce chłopiec, którego nikt nie widział przy piersi. Fedor ani Horpyna nie mówili że to ich syn, ale też nie mieli potrzeby mówić, bo on jego tatą, a ją mamą nazywał. Wołali go Semenem. Semen rósł i marniał. Stepowe słońce i wiatry wysuszyły go na wędzonkę, słoty i sposób życia nie dawały się rozrastać jego członkom. Wyrósł na parobka, a wyglądał niby dziecko, témbardziej że nic nie umiał co do parobka należy: ani za pługiem chodzić, ani młócić, ani żąć, ani kosić, słowem... nic. Całą jego robotą było wodę nosić i badyle łamać. Po wodę chodził do źródła, które o kilka staj od karczemki wjarze biło; za badylami, które zamiast drzewa na opał służyły, włóczył się po stepie. Nikt od niego niczego innego nie żądał, nikt go niczego nie uczył, nikt się nim nie zajmował; stał się więc podobnym do osamotnionego badyla: był chudy, blady, szczupły, lecz z twarzy i postawy wcale ani do Fedora, ani do Horpyny niepodobny. Jasnopłowe włosy i jasnoblękitne oczy, czyniły go niby obcym

własnemu ojcu i własnej matce. Dlatego też ludzie wątpili, ażeby był synem karczmarza i karczmarki z Wygnanki.

— Podrzucony—mówili jedni.

— Znaleziony—twierdzili drudzy.

— Ukradziony—utrzymywali trzeci.

To ostatnie przypuszczenie było najmniej podobnym do prawdy, a to dlatego, że jak najstarsi zapamiętali ludzie, nigdy Fedor Hajda nie był wmieszany do żadnej złodziejskiej sprawy. Przeciwnie: złodzieje bali się go i mieli mu za złe, że się z nimi nie wdaje. Próbowali go skompromitować, ale i to się nie udało.. Próbowali w końcu zemścić się na nim, napadli w nocy na Wygnankę i chcieli Fedorowi pieniądze zabrać, a w dodatku jemu i jego babie piętą ogniem podsmalić; lecz sami wpadli w łapkę. Fedor, napadnięty zniemacka, nie stracił przytomności umysłu; znalazłszy się sam jeden w obec pięciu zdrowych i dużych chłopów, potrafił z nimi do końca trafić i dać im taką naukę, że dziesiątemu zakazali na Wygnankę się porywać. Na pięciu jeden tylko uszedł cały; czterech sam jeden, przy pomocy Horpyny, potrafił powiązać, doraźnie osądzić i wyrok na nich wykonać. Prośli się i modlili...

— Fedorze, tatku, nie gub ty nas!... My ciebie będziemy pilnowali... Będziemy przy twojej karczemce jak żołnierze na warcie chodzili i het wszystkim na dwadzieścia mil dokoła zakazemy zbliżać się do niej ze złodziejskimi myślami... Tobie ani jeden patyczek nigdy nie zginie... Tylko ty nas nie gub, nie wydawaj ekonomii...

Fedor nic na to wszystko nie odpowiadał. Horpyna rozdmuchiwała w piecu ogień, a gdy badyle płomieniem strzeliły, brał złodziei jednego po drugim i smalił im łby nad płomieniem, w taki zupełnie sposób, w jaki się smali wieprza. Tak zoperowanych wynosił na dwór, stawiał na nogi, rozwiązywał, dawał w kark i żegnał wyrazami:

— Hajda! w step... wietrzyć się!..

Ta doraźna egzekucja rzuciła pomiędzy złodziei postrach, lecz zarazem jeszcze mocniej okolicę całą, na kilka mil dokoła, utwierdziła w przekonaniu o niesamowitości Fedora.

— Na co mu się wiązać ze złodziejami?—mówili ludzie, kiedy on związany znieczystym. Jego baba na miotle jeździ na Łysą górę i ma wszystko czego dusza zapagnie.

— Chyba nie na miotle—odpowiadali inni, uważni, co się w sprzętach karczemnych pilnie rozpatrywali.—Na Wygnance na lekarstwo miotły nie znajdziesz.

— To chyba na łopacie.

— I łopaty niema.

— Czémże oni izbę zmiatają i chleb do pieca sadzają?

Była to zagadka, którą naprózno siliłbym się rozwiązać.

Zdaje się, że izba nigdy nie była wymiatana, ani chleb nigdy się nie piekł. Ba, nawet w karczemce nigdy nic do jedzenia dostać nie można było.

Do takiego to pięknego miejsca wprowadziłem czytelnika. Cóż robić!... tak wypadło. Gdyby nie ta karczemka, nie wiedzielibyśmy co się stało z myśliwymi. Dzięki jej, mamy o nich posłuch. Zawrócili na drodze ku krzyżowi, od krzyża dojechali do karczemki i zatrzymali się.

— Hej! szynkarz!—zagrzmiał tonem rozkazu głos poważnego jegomościa, który koniem pod same okna podjechał.

Fedor ukazał się na progu.

— Nie masz tam czego dla psów?

Fedor z podełba powiódł oczami po myśliwych, najdłużej zatrzymał wzrok na postaci panicykowatego młodzieńca i ramionami ścisnął.

— Cóż!.. czemuż nie odpowiadasz?

— Bo nie mam co—była lakoniczna odpowiedź Fedora.

— Nie masz czego dla psów?

— U mnie i dla ludzi niema nic, tylko wódka.

— Hej! krzyknął poważny jegomość, zwracając się ku szaremu końcowi towarzystwa, złożonemu z Kozaków stajennych. A przetrząście no tę karczemkę!..

Kozacy rzucili się z koni. Fedor zwrócił się ku wnętrzu, wywołał Horpynę i Semena, a gdy ci wyszli, odszedł wraz z nimi na stronę, zostawiając próg wolny.

Przetrząsanie trwało bardzo krótko. Kozacy wpadli, obejrżeli wszystkie kąty i tylko przestraszyli dwóch jakichś wędrownych ludzi, co za stołem siedzieli. Zajrzeli pod ławy, do beczek, pod przypiecek i nie znaleźli nic, wyjąwszy kilka ząbków czosnku.

— Cóż? — zapytał poważny jegomość gdy wyszli.

— Proszę pana—odpowiedział jeden—niema nic..

— Ani chleba?

— Żeby okruszyna.

— Ani mléka?

— Ani nawet naczynia na mléko.

— A woda?

— Jest tam w kącie z cebrzykiem.

— Hej!—zawołał, zwracając się do Fedora, wynieś cebrzyk na dwór, niech się psy napiją.

— Z tego cebrzyka piją ludzie, odparł szynkarz, nie ruszając się z miejsca.

— Ach! gałganie ty jakiś!.. Będziesz mi tu odpowiadał! Każę ci skórę spisać!—wykrzykiwał poważny jegomość, najeżdżając koniem na szynkarza i zamierzając się na niego harpanikiem. Natychmiast mi cebrzyk wynieś, albo ci tu...

— Chodźmy — rzekł Fedor do Horpyny i Semena.

— Weszli do środka karczemki.

Poważny jegomość jeszcze trochę wykrzykiwał i począł głośno utyskiwać na zuchwalstwo chłopów.

— Miał on słusność — wtrącił pan Stanisław, i chciał tę słusność umotowywać. Lecz poważny jegomość nie dał mu mówić.

— Ty sobie filozofujesz, panie Stanisławie, a tu filozofia psu na buty się nie zdała... Zobaczysz jak ja zakończę sprawę z szynkarzem i nie wątpię że nie jemu, ale mnie w końcu racją przyznasz.

Lecz nadaremne było oczekiwanie na wodę. Poważny jegomość wpadł w pasy.

— Co to jest? krzyknął.—Czy on myśli, że ma siedem skór na grzbiecie i że gdy mu zbije sześć, to pozostanie jeszcze siódma?... Hej! wyprowadzić-no ptaszka!

Skinał na Kozaków. Skoczyli.

— Takiego zuchwalstwa płazem nie godzi się puszczać.

— Czy sprawiedliwość nie tu nie znaczy? — rzucił, niby na wiatr, pan Stanisław zapytanie.

— Alboż to nie sprawiedliwość — odparł

głośno poważny szlachcic—dać psom pić, kiedy są spragnione i drząc pasy z tego, co psom pić nie daje, kiedy mu każą?

Chóralny śmiech pokrył to powiedzenie, które ogłowi wydało się trafnym i dowcipnym. Poważny szlachcic pół seryo ciągnął dalej:

— Łaknącego nakarmić, spragnionego napoić....

Panicykowany młodzieniec klasnął w dłonie i zawołał:

— Bravo.. Stefan!.. U niego nigdy język daremnie za zębami nie leży. Zawsze ma w pogotowiu odpowiedź... Bravo!

Śmieli się wszyscy, nie wyjmując pana Stanisława i akademika. Tylko wszyscy śmieli się z dowcipu odpowiedzi pana Stefana, pan Stanisław z tych co się śmieli, a akademik sam nie wiedział z czego.

— Będiesz świadkiem ciekawego widowiska—rzekł pan Stanisław do tego ostatniego. Zyskasz gotową osnowę do rozmyślenia nad znaczeniem godności człowieka. Radzę ci tylko w następujący sposób postawić zapytanie: kto jest bydlęciem, szynkarz, czy pan Stefan?

Młodzieniec uśmiechnął się, nic nie odpowiadawszy. Zwrócił całą uwagę na awanturę, która się niewiedzieć z kąd ukleiła. Oczekiwał na widowisko.

Lecz oczekiwanie było nadaremne. Kozacy wyszli z oznajmieniem, że szynkarza niema.

— Gdzieżby się podział?—krzyknął poważny szlachcic.

— Przetrząśliśmy wszystkie kąty...

— Byliście na strychu?

— Byliśmy.

— W piwnicy?

— Byliśmy.

— Zaglądaliście pod łóżka?

— Łóżek niema.

— Pod ławy, stoły, przypiecki?

— Nigdzie niema.

— A szynkarka?

— I szynkarki niema.

— Więc nikogo nie znaleźliście w karczmie?

— Dwóch ludzi siedzi za stołem, a w kącie szynkarczuk.

— Pytaliście ludzi?

— Pytaliśmy.

— Cóż mówią?

— Widzieli jak wyszedł, ale nie widzieli jak powrócił.

— A szynkarczuk co mówi?

— Nic.

Poważny jegomość pogładził się dłonią po wąsach i dał rozkaz Kozakom, ażeby wynieśli cebrzyk z wodą. Lecz tego rozkazu nie było można spełnić. Woda bowiem z cebrzyka została wylana.

— W karczmie choć gęsiom pływać, raportował jeden z Kozaków.

Ta wiadomość we wściekłość wprawiła pana Stefana. Począł kląć i odgrażać się na szynkarza...

— Lecz gdzieżby się on podział?.. zawołał. Musiał jakąś dziurą wyléć z karczemki i stepem umyka... A znajdźcie-no go chłopcy! Rubla dostanie ten, co mi go przyprowadzi. A tymczasem niech mi jeden wyprowadzi szynkarczuka.

Kilku jeźdźców kopnęło się cwałem z miejsca w step, po za karczemkę, w celu wypatrzenia i sprowadzenia Fedora, a jeden ze słu-

żby wyciągnął z karczmy za kark Semena i stawił go przed panem Stefanem.

Postać chłopca była politowanie wzbudzająca. Na twarzy jego malowało się cierpienie, jakby tylko co z obłożnej powstał choroby. Odzież jego składała się z takich tylko części, które najniezbędniejszymi są do okrycia nagości ciała. Nogi miał bose; na głowie nie było nakrycia; grzbiet osłaniała dziurawa sukmanka podpasana powróstem; z pod sukmany wyglądała zgrzebna koszula, otwarta na piersiach i zgrzebne spodnie, sięgające nie o wiele niżej kolan. Jasne włosy i jasne oczy zbolątemu wyrazowi postaci chłopca nadawały ton niewieści, jakby pod tą żebraczą odzieżą ukrywała się przebrana kobieta.

— Dziwna rzecz, rzekł półgłosem pan Stanisław do akademika. Jak ten szynkarczuk do jego matki podobny!

— Do czyjjej matki?—spytał akademik.

Pan Stanisław oczami ukazał na Fasia, który konno stał obok pana Stefana i, potakując mu słowem i gestami, brał żywy a wesoły udział w zaimprovizowanej przez poważnego szlachcica awanturze. Ten ostatni indagował Semena.

— Ty najmyt?

— Nie, odpowiedział chłopiec ponuro.

— Cóż ty za jeden?

— Ta że—tu się zająknął—zdaje się... ni-by... ich syn...

— Co za ich?

— Fedora i Horpyny.

— Ten huncwot jest twoim ojcem? a ta czarownica twoją matką?

— Cha, cha, cha!.. — zabrzmiała chórem konna galerya.

Semen nic nie odpowiedział, oczy spuścił i w policzkach dostał nerwowego drgania, które spotęgowało wyraz cierpienia rozlany na jego twarzy.

To oczu spuszczenie i to policzków drganie zafrasowały patrzących, z których jednemu mimowolnie wydarł się z piersi okrzyk:

— Ach!

— Zkądże ci się wziął ten sentymentalny wykrzyk? zapytał młodzieniec.

— Jaki ten chłopak do kogoś znajomego podobny!—odpowiedział zapytany.

Uwaga powszechna zwróciła się na rysy Semena i każdy z kolei przyznał, że on podobny do „kogoś znajomego“

Pan Stanisław z boku uśmiechnął się półzłotliwie i w końcu zapytał:

— Czyż nie wiecie, kogo te rysy twarzy przypominają?

Domyślali się, odgadywali, lecz odgadnąć nie mogli.

Pan Stefan tymczasem ciągnął dalej indagacją.

— Gdzież się twój niby ojciec i twoja niby matka podzieli?

— Ta nie wiem.

— Przecież nie wylecieli przez komin.

Chłopiec milczał.

— Ale czy doprawdy szynkarz jest twoim ojcem, a szynkarka matką?—zapytał z nienacka pan Stanisław.

Chłopiec podniósł na niego błękitne oczy i spojrzął z wyrazem zdumienia, jakby nie rozumiał zadanego mu pytania.

— Czy nie przypominasz ty sobie, żebyś kiedy przebywał w inném jakim miejscu, ładniejszym aniżeli karczemka i step?

(Dalszy ciąg nastąpi).